

STRASZNA
NOWINA
O OKRUTNYM
MORDZIE
SZYMONA
ABELESZA

MAREK TOMAN

STRASZNA
NOWINA
O OKRUTNYM
MORDZIE
SZYMONA
ABELESA

PRZEKŁAD
ANDRZEJ BABUCHOWSKI

WYDAWNICTWO WAM

Tytuł oryginału:

Veliká novina o brozném mordu Šimona Abelese

© Marek Toman, 2014

© Wydawnictwo WAM, 2016

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek

Redakcja: Zofia Smęda

Korekta: Lidia Koška

Projekt okładki: Izabella Marcinowska

fot. © shutterstock/minshen

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-0671-3

Przekład książki został dofinansowany ze środków
Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej



MINISTRY OF CULTURE
CZECH REPUBLIC

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

e.wydawnictwowam.pl

Nie ma bowiem nic tak ciemnego,
co by nie miało wyjść na światło dzienne.

Proces inkwizytorski, 1696

Szymon Albrecht 0

Siedzi tak wyprostowany, że jego plecy nie dotykają oparcia, i nie odrywa wzroku od monitora. Jedna ręka spoczywa na myszce, druga na klawiaturze. Mięśnie ma napięte, jakby zaraz miał się zerwać. Jego twarz w bladej poświacie ekranu spopielała, za to wzrok miał rozpromieniony. Zza rogu budynku wybiega żołnierz z wycelowanym automatem. Ruszając myszką, dosięga go kursorem i wtedy odczuwa falę emocji, a zarazem szczególnie spokój. Mógłby być tym żołnierzem, jednak tym razem jest po przeciwnej stronie. Palcem wskazującym naciska lewy przycisk. Obraz zaczyna jednak drgać, na ekranie pojawiają się krople krwi. Żołnierz najwyraźniej zdążył wystrzelić, zanim upadł. On został tylko lekko ranny, ponieważ gra toczy się dalej.

Szymon Abeles 0

Idzie ulicą w cudzym płaszczu i ma wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Wciąż jeszcze może zawrócić, ale podjął już decyzję. Wszystko będzie zależało od pierwszego spotkania. Powtarza słowa, które powie temu człowiekowi. Próbuje przypomnieć sobie melodię, która przywiodła go aż tutaj, lecz słyszy tylko, jak jego zelówki stukają o oblodzony bruk. Na próżno przełyka ślinę. Krew pulsuje mu w skroniach, ponieważ uświadamia sobie, że przekroczył już granicę swojej dzielnicy. Stara się nie patrzeć

na innych przechodniów. Gdyby zaczął zwracać na siebie uwagę, mogliby go zdemaskować. Czuje, że skradziony płaszcz jest na niego trochę za duży. Jak gdyby ulicą szedł sam płaszcz, a on starał się go tylko wypełnić.

Szymon Albrecht I

Od chwili, gdy wszedł do mieszkania, Ladislavowi wydawało się, że coś jest nie tak. Syn przecież po przyjściu do domu nie zamykał za sobą drzwi. Schylił się, zdejmując buty, ale potem podniósł głowę, żeby zajrzeć do jego pokoju. Oczekiwał codziennego widoku: profilu twarzy Szymona, oświetlonej bladym światłem monitora. Zobaczył jednak tylko ciemny prostokąt otwartych drzwi. Zrobił kilka dodatkowych kroków i zapalił światło, żeby się przekonać, czy naprawdę go tam nie ma.

Wrócił do przedpokoju, zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi na niewielki balkon i popatrzył na oświetlone okna w mieszkaniu naprzeciwko. Niekiedy zauważał w nim przemykającą sylwetkę młodej kobiety. Kiedyś ujrzał, jak półnaga pochyliła się sprężysto, żeby naciągnąć koszulkę. Miała pomarańczowy stanik i ten jaskrawy odcień jakoś szczególnie poruszył Ladislava. Jego była żona nosiła bieliznę wyłącznie w białym, czarnym lub cielistym kolorze. Wspomnienia tej sceny, widzianej tylko przez moment, długo nie mógł się pozbyć. Pokój naprzeciwko był pusty.

Gdy zapalił światło, w drzwiach balkonowych dostrzegł odbicie własnej twarzy: czterdziestolatka z przerzedzonymi włosami i rysy, które zaczęły tracić ostrość. Twarz kogoś, kto miał dość czasu, żeby coś ze sobą zrobić, ale wciąż jeszcze mu się to nie udało. Tylko te oczy, badawcze, niespokojne, pozostawały takie jak

zawsze. Schylił głowę, żeby zobaczyć, jak bardzo wyłysiał na czubku głowy. Była to jednak nieudana próba.

Wszedł do kuchni i z westchnieniem wyjął laptop. Próbował myśleć o pracach badawczych, które miały się zacząć już jutro. Otworzył plik z opisem historii Abelesa. Przygotował mu go jego asystent Tomasz; mógł mieć więc pewność, że zrobił to starannie. Na pewno umieścił w nim zbyt dużo szczegółów. Nie potrafił się jednak skupić. Szymon zawsze przychodził ze szkoły prosto do domu, żeby jak najprędzej zasiąść do komputera. Ladislav nie chciał panikować, w końcu jednak raz jeszcze do niego zadzwonił, ale syn nie odbierał.

Zatrzymał się, w tak małym mieszkaniu mógł tylko z powrotem wejść do przedpokoju wiodącego na balkon. Odwrócił się w stronę lodówki. Otworzył ją i spojrzał na kurczaka zawiniętego w folię. Mięso miało błydy kolor, a folia błyszczała w żółtym oświetleniu wnętrza. Przypomniał sobie, jak to syn zamknął kiedyś w lodówce telefon komórkowy z włączoną kamerką, żeby sprawdzić, czy światło po zamknięciu drzwi rzeczywiście zgaśnie. Wyjął opakowanie i upewnił się w swoich przypuszczeniach. Kurczaka musi oporządzić dzisiaj. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie w stronę mieszkania naprzeciwko. Pokój wciąż był pusty.

W kuchni uwolnił kurczaka z opakowania, pod którym wyglądał trochę jak relikwie świętego w szklanej trumnie u podstawy ołtarza, opłukał go i położył na desce. Osuszył, posolił. Przygotował cebulę i jabłka i zaczął je kroić, powoli, dokładnie, żeby jakoś wypełnić sobie czas. Nastawił uszu, próbując usłyszeć trzaśnięcie drzwi wejściowych i kroki nóg w traperkach idących po schodach.

Przez cały czas starał się odpędzić myśl, która dopadła go już na progu: że Szymon nie przyjdzie. Z powodu tego, co stało się wczoraj.

Kuchnię wypełniła słodka woń piekącego się kurczaka, monitor laptopa już dawno odtworzył kilka geometrycznych figur i pociemniał. W pokoju zrobiło się ciepło i przytulnie jak w czasie niedzielnego obiadu, jednak Ladislav był sam. Przekręcił gałkę w kuchence na najniższy stopień, dalsze czekanie nie miało już sensu.

Jeszcze raz wyjął komórkę, ale Szymon i tym razem nie odebrał. Ladislav na próbę przejrzał kontakty, choć doskonale wiedział, do kogo musi zadzwonić. Od rozwodu nie rozmawiał z Mary. O tym, czego Szymonowi potrzeba i kiedy odwiedzi swoją matkę, informowali się mailem. Już nawet nie wiedział, które z nich to wszystko zaczęło, ale ten pośredni kontakt mu odpowiadał.

W końcu jednak nacisnął zielony telefonik przy jej imieniu; odsunął przy tym komórkę od ucha, jakby się bał, że porazi go prąd. Nie odebrała. Wyłączył piekarnik. Jego palec zawisł nad przyciskiem laptopa, nie miał odwagi go nacisnąć. Badania muszą poczekać. Mógłby przejrzeć wiadomości, tylko czego by się dowiedział? Najpewniej, że gdzieś zaginęło jakieś dziecko. Miał wrażenie, że w ostatnim czasie rozwiązał się worek z tego typu wiadomościami. Pochylał się nad otwartym piekarnikiem i z uwagą obserwował stygnącego, dawno już upieczonego kurczaka, gdy zadzwonił telefon. Ladislav z bijącym sercem przeczytał na wyświetlaczu MARY.

– No, co się dzieje? – spytała.

– Cześć... Nie ma u ciebie Szymona? Nie wrócił ze szkoły do domu...

– A dlaczego dzwonisz akurat do mnie? Zawsze miałam wątpliwości, czy potrafisz się o niego zatroszczyć. Zupełnie zwariował na punkcie tego komputera. I to jest wyłącznie twoja wina.

– Ja bym...

– Znowu głupiejesz od tych twoich grobów i kości. Martwi się dla ciebie ważniejsi niż żywi!

- Już to słyszałem.
- No i? Nic się nie zmieniło. Nie powinienes się domagać, żeby był u ciebie, skoro nie masz dla niego czasu!
- Ladislav pozwolił, żeby jej zdanie zawisło w powietrzu.
- Mary, czy nie masz numeru do któregoś z jego kolegów? – próbował zatuszować tę opinię rzeczowym pytaniem.
- A skąd bym go miała wziąć? Czy do Szymona przemawiają rozumne argumenty? Kiedy jest u mnie, siedzi kamieniem przy kompie. Próbuję z nim rozmawiać na różne sposoby, a i tak niczego się od niego nie dowiem!
- Mary...
- Tak samo jak od ciebie!

Odłożyła słuchawkę. Ladislavowi ulżyło, że nie ma u niej Szymona. Każdy wyjątek oznaczałby naruszenie danego słowa, a miał jeszcze żywo w pamięci, z jakim trudem doszli przed rozwodem do porozumienia. Zaskoczyła go zawziętość, z jaką się do tego zabrała. Czyżby chciała kontynuować dawne kłótnie? Jej maile były przecież bardzo spokojne, czasem wręcz przyjacielskie. Nie, podświadomie domyślał się innego powodu, którego nie umiał odgadnąć. O dziwo, nie była zaskoczona, że Szymona nie ma – zastanawiał się. Cała rozmowa właściwie przebiegała tak, jakby nie chciała dopuścić Ladislava do słowa. Może powinien pójść do niej, żeby się upewnić, czy nie ma tam chłopca. Odegnął tę myśl od siebie, czując, że zachowuje się paranoicznie.

Wszedł do pokoju syna, przeglądnął stertę zmiętych i pokreślonych kartek, leżących przed monitorem. Wybrał zużyte chusteczki i wrzucił je do przepelnionego kosza. Oczywiście, żadnego numeru telefonu nie odkrył. Szymon ma je w swojej supernowoczesnej komórce, którą zażyczył sobie na urodziny. Chaos na biurku syna jak zwykle rozżłościł Ladislava, potem jednak zaczął segregować kartki. Gdyby tak miał Szymona przed

sobą, z oczami wlepionymi w monitor! Wyobraził sobie, jak wy-
ciąga rękę, żeby przeczesać mu włosy na czubku głowy. Gest ten,
kiedyś tak zwyczajny, był od dawna nie do pomyślenia, ponieważ
Szymon teraz za każdym razem cofał się rozdrażniony.

W kuchni Ladislav podzielił kurczaka na porcje, nałożył sobie
mięso na talerz i dodał przestudzonego ryżu. Resztę kurczaka
włożył z powrotem do piekarnika i zawahał się, czy nie pozostawić
go na najniższej temperaturze. Potem jednak wyłączył piekarnik.

Po kilku minutach odłożył talerz i znowu wyszedł do przed-
pokoju. Od mieszkania naprzeciwko dzieliło go w tej dzielnicy
z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku najwyżej
piętnaście metrów, nie wiodła tędy żadna ważna arteria, była
to typowa ulica między kamienicami. Korony drzew, które
dawno temu zasadzono na skraju chodników, teraz łączyły się
ze sobą nad jezdnią. W mieszkaniu naprzeciwko światło paliło
się w drugim oknie, którego Ladislav nie widział, ponieważ
zasłaniały mu je gałęzie. Wprawdzie nie było na nich liści, ale
kiedy poruszały się na mroźnym lutowym wietrze, tworzyły
nieprzenikalną zasłonę.

Szymon Abeles I

Gdy służąca oznajmiła Hermanowi, że szuka go jakiś chłopiec,
ścisnęło mu się serce. Mogli posłać do niego pomocnika z dru-
karni, ale i tak poczuł zbliżającą się katastrofę. Z niepotrzebną
szorstkością nakazał Marii, żeby przyprowadziła chłopca. Po
chwili zaskrzypiały schody. Herman zdążył jeszcze wziąć głęboki
oddech; rozejrzał się też po pracowni, gdzie piętrzyły się książki,
będące dowodem jego sukcesu.

Przed wszystkim najpierw dostrzegł spojrzenie chłopca. Była w nim dziwna mieszanina oczekiwania, nadziei i strachu. Na okrągłej twarzy miał strupki po wysypce. Hermanowi było go trochę żal, a jednocześnie nie wzbudzał w nim żadnej szczególnej sympatii. Wyglądał na sprytnego, ale tej inteligencji, jak na dziecko, wydawało się aż za dużo. Herman z ciekawością przypatrywał się jego kapeluszowi. Zsuwał się chłopcu na uszy, zapewne pożyczł go od kogoś dorosłego. Płaszcz dziwnie na nim zwiślał, jakby odziedziczył go po kimś starszym z rodzeństwa. Tak ubierali się biedacy. Herman z tego powodu stał się jeszcze bardziej nerwowy.

– Zostaw nas samych, Mario – nakazał służącej. Zatrzymała się w progu, przeskakując wzrokiem z Hermana na chłopca, zapewne zdała sobie sprawę, że coś wisi w powietrzu. Już niemal wyobrażała sobie, jak będzie tę wizytę opisywać innym służącym przy studni.

– Idź już! – wykrztusił Herman.

– Hirszu! – odezwał się chłopiec, gdy tylko drzwi się za nią zamknęły – pozwól mi zostać u siebie.

Herman starał się złapać oddech, a potem mimo woli uczynił gest, którego nauczył się od Beszoniseda. Życzliwie wskazał ręką, żeby chłopiec usiadł na taborecie. Właściciel drukarni, w której Herman pracował, tak właśnie się zachowywał, kiedy ktoś domagał się od niego zwrotu długu. Tym ceremonialnym gestem przekonywał wierzycieli, że przecież w końcu się doczekają. Herman dał sobie czas, żeby się rozsiaść w fotelu z wysokim oparciem. Chłopiec stał nadal.

W pracowni zaległa cisza. Było letowe popołudnie. Za oknem unosiło się kilka pojedynczych płatków śniegu. W kominku trzaśkało polano. Herman uświadomił sobie, że nie potrafi chłopca tak zwyczajnie wyrzucić.

Hirszu. Przez całe lata nikt tak do niego nie mówił. Nie nazywał się Hirsz. To imię należało do jego przeszłego życia, którego się wyrzekł i o którym starał się zapomnieć. Wierzył, że udało mu się zburzyć przeszłość jak stary skład drukarski. Chłopiec zdjął kapelusz. Na skronie opadły mu kosmyki włosów, jakich tutaj nikt nie nosił.

– Nie mów do mnie Hirszu – zamruczał Herman, zastanawiając się przy tym, czy aby Maria nie podsłuchuje pod drzwiami. – Czego ode mnie chcesz?

– Mistrzu Hirszu – zaczął chłopiec.

– Dość. W ogóle nie wymawiaj tego imienia... Jestem Herman. H-e-r-m-a-n, rozumiesz? – Nie dodał, że na nazwisko ma Kawka. Nazwisko przy konwersji nie zostało zmienione.

– Mistrzu Hermanie, mam na imię Szymon. I... chcę zostać chrześcijaninem.

Hermanowi zakręciło się w głowie. Nie przypuszczał, że ta historia zacznie się rozgrywać od nowa, i to na jego oczach. W jego głowie jedna myśl goniła drugą. Rodzice na pewno nie zgadzają się z decyzją chłopca, nie, oni z pewnością w ogóle nie podejrzewają, że uciekł. Jest popołudnie, zaczną go szukać dopiero wieczorem. Zostało więc jeszcze trochę czasu.

– Mistrzu, ja... Moja macocha nazywa się Lea.

Imię to podziałało na Hermana jak grom. A więc to tak. Stał przed nim Szymon Abeles, który jeszcze przed paroma minutami oddychał tym samym powietrzem co Lea.

Herman wstał, przesuwając ciężki fotel po deskach podłogi. Maria pewnie odskoczyła teraz od drzwi, jeśli podsłuchiwała. W oczach Szymona Abelesa pojawił się strach. Herman położył rękę na ramieniu chłopca i uświadomił sobie, co mu się w nim od początku nie zgadzało. Chłopiec miał na sobie płaszcz, który pierwotnie należał do dojrzałego mężczyzny, być może do

chrześcijańskiego robotnika najemnego. Teraz go rozpiął. Ubranie pod spodem należało bez wątpienia do chłopca i jednoznacznie wskazywało na Żydowskie Miasto.

Herman ruszył do kuchni, Maria odwróciła się do niego z pytającym wzrokiem. – Muszę iść do ojca Johanna – oznajmił jej. – Chłopiec zostanie tutaj, dopóki nie wrócę. Zaprowadź go na górę i nie rozmawiaj z nim, nikomu o nim nie mów...

Maria patrzyła na niego, nie rozumiejąc, ale z zaciekawieniem.

Założyła sobie jasny kosmyk włosów za ucho, twarz miała zaróżowioną od rozgrzanego pieca. Znów uświadomił sobie, jak delikatną ma cerę, jakby z najszlachetniejszego papieru. Jej powabna postać jakoś nie pasowała do kuchni. Odruchowo zacisnął palce. Jej zielone oczy sprawiały, że czuł się niepewnie.

– Kim on w końcu jest?

– To pomocnik od Beszoniseda. Być może wpadnie nam wielkie zamówienie na ulotki o... jakichś świętych. Muszę się naradzić z Johannem. Nikomu ani słowa, albo sprzątnie nam ją sprzed nosa jakaś inna drukarnia. I dołóż na górze do pieca.

Herman udał się w stronę Klementinum. Jego dom znajdował się przy niewielkiej ulicy Agnieszki, niedaleko tej części Żydowskiego Miasta, która leżała w pobliżu synagogi zwanej Stara Szkoła. Wizytówką okolicy był raczej pobliski kościół Świętego Ducha, kiedy jednak Herman opisywał, gdzie mieszka, Stara Szkoła pojawiała się w jego myślach jako pierwsza.

Najłatwiej byłoby mu teraz zanurzyć się w tę większą część Żydowskiego Miasta, którego sercem była synagoga Staronowa, najważniejsza ze wszystkich praskich świątyń. Zazwyczaj jednak omijał Żydowskie Miasto. Zastanawiał się, ponieważ z pewnością zaoszczędziłby sobie dobrych dziesięć, piętnaście minut. W końcu ruszył, najpierw ulicą Pocztową, potem Trójjstudzienną, idąc po obrzeżach Żydowskiego Miasta.

Przed pięciu laty strawił je pożar, a teraz na zgłiszczach wznosiło się już getto, podobne do tego pierwotnego. Krzywe domki, na budowę których oszczędzano kamienia, zastępując go drewnem. Dostawiano do nich wąskie fasady w krętych uliczkach i było jasne, że wkrótce zaczną je obsypywać alkowami i mansardami przebudowanymi z wykuszy, jak to miało miejsce w spalonym getcie. W urzędach liczone, że po pożarze uda się ograniczyć swobody Żydowskiego Miasta, tymczasem mieszkańcy, z pomocą wynajętych chrześcijańskich robotników, z zapalem wzięli się do jego odbudowy. Wiedzieli, że gdy tylko staną domy, łatwiej będzie się dogadać z panami.

Herman z bólem i irytacją uświadomił sobie fakt, że Żydowskie Miasto swoje istnienie zawdzięcza głównie ogromnej gorliwości mieszkańców; trwało przy życiu również dzięki ich uporowi. Kiedyś wzruszyłby tylko ramionami. Teraz z ulgą westchnął, że jego już to nie dotyczy. Przestało być dla niego ważne.

Idąc obrzeżem Żydowskiego Miasta, dotarł do Rynku Staromiejskiego, minął wąską ulicę Karpiową, która wiła się długimi odcinkami jak wąż, któremu złamano kręgosłup, i wybrał ulicę Płatnerską. Wkrótce niebo przed nim wypełniła wspaniała fasada.

Kolegium jezuickie wznosiło się jak twierdza na granicy między Żydowskim Miastem a dzielnicami chrześcijańskimi. Jego bryła za każdym razem skłaniała Hermana do spojrzenia w górę; odchyłał głowę, aż doznawał od tego zawrotu. Kolegium zajmowało obszar miasteczka, z fasady spoglądały na przeciwległe domy dziesiątki niezastłoniętych i nieoświetlonych okien. W przeciwieństwie do stłoczonego chaosu dzielnicy żydowskiej, tutaj panował doskonale zaplanowany ład. W opustoszałych ulicach dokoła dominował lodowaty chłód.

Portier spjrzał badawczo na Hermana zza kutej kraty w drzwiach. Drukarzowi wydawało się, że otwiera mu zbyt wolno.

Zląkł się, że wygląda niestosownie; co pewien czas miał tak obawy. Swoją wykładkę zresztą codziennie sprawdzał w lustrze. Za każdym razem patrzyła na niego ta sama twarz o niespokojnych oczach. Nie miał wydatnego nosa ani ciemnej cery, krótko mówiąc nie różnił się od mieszkańców chrześcijańskiego miasta, tak przynajmniej przekonywał samego siebie.

Słońce wpadało do pracowni ojca Johanna, jakby przenikając tu przez szkło powiększające. Hermanowi wydawało się przez moment, że znalazł się w jakimś zamorskim kraju, gdzie promienie świecą mocno także w zimie. W kominku płonął ogień, stół pokrywała sterta ksiąg, rękopisów i map. Książka stała na środku pokoju; wyglądało na to, że go oczekuje. Wysoki, z potężnym nosem, który Hermanowi zawsze kojarzył się z przednią strażą, kroczącą na czele armii. W obecności Johanna Herman za każdym razem czuł się o kilka stopni bledszy, o kilka funtów lżejszy, jak banalna ulotka na tle wspaniałego foliału. Nabrał tchu, lecz zanim zdążył przemówić, poczuł tę słodką woń. Unosiła się w tym pokoju tak samo jak wtedy, gdy Johann przygotowywał go do chrztu.

Książka rozpromieniła się, zanim jeszcze Herman skończył. – Wreszcie – powiedział. – Wreszcie zaczynają się nawracać. Jesteś szczęściarzem, ponieważ rzeczywiście możesz chłopcu pomóc. Jesteście sobie tak bliscy... Jakbyście byli krewnymi.

– Ale nie jesteśmy.

– Nie twierdzą, że musisz być jego ojcem. Wystarczy być stryjem. Potrzebuje nowej rodziny, ponieważ swoją pierwszą właśnie traci. Pamiętasz jednak, prawda?

– Co mam zrobić?

– Co robi stryj? Weź chłopca na targ i kup mu jakieś zabawki, żeby nie tęsknił. Potrzebuje także ubrania. W chrześcijańskim odzieniu chyba nie przyszedł, prawda? Na razie zostanie u ciebie. Jego przejście z jednej rodziny do drugiej musi następować

powoli, choć jest nieodwracalne. I nie bój się, Towarzystwo ci za wszystko zwróci.

– Ja...

– Zleć także twojej służącej, żeby przygotowała jakieś porządne jedzenie. Przecież wiesz. A chrześcijańskie ubranie lepiej mu schowaj, kiedy nie będzie cię w domu. Żeby nie przyszło mu do głowy uciec także od ciebie.

Herman był zdumiony sposobem, w jaki Johann potrafił odpowiedzieć na jego pytania, których jeszcze nie zdążył zadać. Było tak nie pierwszy raz, a jednak znowu go to zaskoczyło. Po powrocie z kolegium nakazał Marii, żeby przygotowała kolację dla trojga.

– Oczekujecie gościa? – spojrzała na niego na wpół pytająco, na wpół drwiąco. W podobnych sytuacjach Herman czuł zawsze, że ma nad nim przewagę, i przyrzekał sobie, że będzie dla niej surowszy. Służącą mieć musiał, jak wszyscy mieszczanie. Starał się więc znaleźć taką, która będzie go słuchać. Maria w zasadzie była taka, tyle że jej uwagi dowodziły, iż wie swoje, a jeśli nawet milczała, to jej spojrzenie potrafiło go dotknąć. *Kiedy Pan Bóg rozdawał elokwencję, to zgłosiła się po nią dwa razy* – przypomniał sobie, co o jego służącej powiedział Beszonised. Nie, Maria właściwie nie była gadatliwa – raczej to, co powiedziała, było po prostu trafne. Między Hermanem a nią zrodziła się relacja wzajemnego szacunku... poza swobodniejszymi momentami, gdy Maria próbowała, jak mocna jest między nimi granica. Także Herman miał chwile, gdy kusił go, żeby ją przekroczyć.

– Chłopiec będzie jadł z nami.

– Ten pomocnik?

– Gdzie tam, żadnym pomocnikiem nie jest. Jak się okazało...

– Co się okazało, mistrzu? – spytała Maria takim tonem, że aż Herman musiał odkaszleć.

– Później ci to wyjaśnię. Teraz zatroszcz się o jedzenie – odpowiedział szorstko. Stąpając po schodach, słyszał, jak w kuchni trzaska rondelkami. Jest dobrą kucharką – pomyślał, zresztą nie pierwszy raz.

Szymon w popłochu zerwał się z taboretu. Herman zauważył, że książki na stole są pootwierane inaczej, niż je zostawił. Będzie musiał mieć baczenie na chłopca. Na pewno umie czytać, choć na razie pewnie tylko po hebrajsku. Pamiętał dobrze, jak dzięki ojcu Johannowi zabrał się do czytania chrześcijańskich księzek. Wydawało mu się, że kryje się w nich wiadomość, dzięki której stanie się chrześcijaninem. Gdy tylko zdoła ją rozszyfrować. Powtarzał litery chrześcijańskiego alfabetu rano i wieczorem, zamiast modlitw żydowskich.

– Wybierzemy się na targ. – Chłopiec skulił się ze strachu, ale Herman ruszył w stronę półki, gdzie za książkami miał schowany garnek z pieniędzmi. Stał odwrócony plecami do Szymona, żeby ten nie patrzył mu na ręce. Cienie w izbie gęstniały, Łazarz Abeles wkrótce zauważył brak swego syna.

– Idziemy – nakazał Herman. Szymon bezradnie wrzucił ramionami i wskazał na swoje włosy. Nie wystarczy tylko ot tak schować je pod kapeluszem. Herman rozejrzał się po pokoju, na stole leżał jedynie nożyk do otwierania listów. Ścisnął go w palcach.

– Podejź bliżej – nakazał Szymonowi. Chłopiec podszedł niechętnie, Herman podniósł pejs na jego skroni i przeciągnął po nim ostrzem nożyka. Włosy stawiały dziwny opór, jakby się zwały w jeden nurt. Herman zauważył, że w oczach Szymona pojawiły się łzy. *Powinieneś wcześniej o tym pomyśleć* – przemknęło mu przez głowę.

– Oprzyj czoło na stole, żebym mógł się porządnie wziąć do dzieła – polecił. Szymon nieśmiało mu się podporządkował, drukarz zawahał się, widząc białą skórę szyi, która prześwitywała

między kosmykami. Podłożył Szymonowi pod głowę biały foliak gramatyki zamiast poduszki.

Im prędzej przywyknie do tego, że stary świat się dla niego skończył, tym lepiej. Ja też nie miałem żadnych przywilejów, pomyślał, i równocześnie z rosnącą niecierpliwością zaczął obcinać chłopcu czuprynę. Jemu też kiedyś obcinał włosy ojciec Johann – Hermanowi wtedy ulżyło. Szymon zaszlochał raz i drugi, oczy zaszczyły mu łzami.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy – oznajmił Herman – nie mogę cię strzyc całą wieczność.

Dopał do świecy, włosy zapłonęły z suchym trzaskiem; w ręce zostały mu tylko osmalone loki. Zbielałe koniuszki zwijały się na skroni Szymona.

– Dokończymy później – dodał Herman. Szymon nacisnął na głowę kapelusz i bezradnie nim poobracał, ponieważ był na niego za duży. Na stole położył szpilki do włosów, które ścisnął w garści.

Szymon Albrecht 2

Po zjedzeniu kurczaka Ladislavowi zrobiło się niedobrze. Zapach tłuszczu w pokoju dodatkowo drażnił mu żołądek, ale nie potrafił się zmusić, żeby przynajmniej umyć naczynia. Wrócił do laptopa i z niejasną nadzieją, o której wiedział, że jest bezsensowna, otworzył skrzynkę mailową. Znowu spróbował zadzwonić do Szymona. Bez powodzenia.

Wmawiał sobie przez chwilę, że syn na znak protestu nie odbiera telefonu, chociaż to nie było do Szymona podobne. Poza tym, gdzie mógł pójść, skoro nie było go u Mary? Na chwilę zamarzył, żeby syn miał jeszcze inne słabości niż tylko gry komputerowe.

Próbował sobie przypomnieć jego grzeszki z czasów, gdy był jeszcze mały, ale nic mu nie przyszło na myśl. Że może za bardzo lubił słodycze? No i co z tego. Takie mankamenty Ladislav postrzegał jako smakowanie życia, które z pewnością objawi się inaczej, gdy Szymon wydorosłeje. Widywał go właściwie tylko w weekendy, a i tak wtedy raczej bronił go przed krytyką ze strony Mary, która wydawała mu się przesadna.

Około dziewiątej nie można już było zrobić nic innego, jak wybrać czterocyfrowy numer zapisany w kontaktach.

Zdumiało go, że w męskim głosie po drugiej stronie wyczuł coś, co wyglądało na szczerze zainteresowanie. Ten człowiek mógł mieć najwyżej trzydzistkę, być może nie ma nawet dzieci. Ladislav starał się wyrażać dokładnie i jasno, jakby to było gwarancją, że uzyska pomoc.

- Czy próbował pan zadzwonić do jego kolegów?
- Wie pan... ja właściwie do żadnego z nich nie znam numeru.
- Nie mieszkają gdzieś w sąsiedztwie?
- Niestety, nie sądzę.
- Czy mieszka pan z synem na stałe?
- Tak. Ale dopiero przed pięcioma miesiącami przeprowadził się od mojej... byłej żony.
- Zaginione dzieci często bywają u krewnych. Może nie potrafił się pogodzić z rozwodem? Czy może być u pańskiej byłej małżonki albo u dziadków?
- Nie wydaje mi się, żeby miał z rozwodem jakiś...
- Może mi pan podesłać jego fotografie?
- Wie pan... – Ladislav żałował w duchu, że wspólne fotografie zostawił u Mary.
- No to roześlę jego opis patrolom. Dostanie go też każdy posterunek. Proszę się zastanowić, gdzie mógłby być, może zapomniał pan o jakiejś ważnej rzeczy?

– Naprawdę nie da się nic zrobić? – Ladislav był w rozterce. Nagle ton głosu po drugiej stronie nie wydawał mu się już tak wiarygodny.

– Może pan pójść na komendę dzielnicową...

– Dziękuję stokrotnie – wykrztusił Ladislav i, zanim jeszcze zakończył rozmowę, sięgnął po kurtkę przewieszoną przez krzesło. Z chodnika odruchowo spojrzął w okna mieszkania naprzeciwko, chociaż wiedział, że z dołu niczego nie zobaczy.

Dom miał neorenesansową fasadę w kolorze różowofioletowym, z historyzującymi gzymsami, kolumnkami i ozdobną kamieniarką. W innej sytuacji Ladislavowi być może przemknęłoby przez głowę, jak to możliwe, że te budynki, typowe dla jego dzielnicy na styku Vršovic i Vinohradów, gdzie kiedyś powstawały osady otoczone winnicami, wyglądają tak wdzięcznie. A w gruncie rzeczy jest to kicz, architektura wywodząca się z końca dziewiętnastego i początków dwudziestego wieku. Wciągnął w płuca mroźne powietrze i ruszył tak ostro, że na rogu o mało nie zderzył się z mężczyzną w kurtce i czarnej czapce. Człowiek ten, choć atletycznie zbudowany, uskoczył niemal z takim samym lękiem.

Zbiegł w dół koło willi Oświata, gdzie kiedyś mieszkała rodzina prezydenta Masaryka. Nad bramą wejściową znajdowało się popiersie Jana Masaryka z napisem *Prawda zwycięży, ale to wymaga pracy*. Wcześniej, patrząc nieraz na ten slogan, sam się do siebie uśmiechał. Teraz zmroził go, ponieważ wydał mu się czymś w rodzaju złej wróżby. W dodatku uświadomił sobie, że napis wraz z popiersiem znajduje się nad lewą, nieużywaną bramką obok głównego wejścia. Tuż za nią rósł krzew. Na ulicy Masaryka przyspieszył kroku.

Komisariat policji przy ulicy Šafaříka mieścił się na parterze kamienicy czynszowej z dziewiętnastego wieku, kondygnacja ta miała inny kolor niż górne piętra. Pokryta była szarym grubym tynkiem, jakby przewidywano, że się zabrudzi, a tuż przy ziemi

opasywały ją ciemne kafelki. Od pierwszego piętra w górę tynk miał już kolor ciemnobrazowy, z zaznaczonymi stiukowymi ornamentami. Okna na parterze przysłaniały łagodnie wybrzuszone druciane siatki, które przypominały Ladislavowi woliery*. Od wewnątrz zakrywały je tandetne zasłony, przepuszczające światło żarówek, których żółty kolor przywodził na myśl oświetlenie szpitali, szkół i poczekalni dworcowych.

Ladislav zatrzymał się przy drzwiach obitych blachą, w które wprawiono grube szkło. Na karteczce wetkniętej od zewnątrz za futrynę przeczytał napis: *Dokumenty należy przedłożyć bez wezwania*. Zaskoczył go staroświecki krój liter i przyszło mu do głowy, czy aby ten napis nie pochodzi jeszcze z czasów przed Listopadem**. Mógł pochodzić z lat pięćdziesiątych, ale równie dobrze z trzydziestych. Na innej kartce przeczytał: ZAKAZ NAGRYWANIA DŹWIĘKU I OBRAZÓW W OBIEKCIE. Uspokoił się, ponieważ brzmiało to przynajmniej trochę bardziej współcześnie. Tyle razy przechodził obok komisariatu, ale nigdy bliżej mu się nie przyjrzał.

Ladislav nacisnął dzwonek. – Jest pan ojcem tego chłopca? – męski głos przerwał jego wyjaśnienia. Zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, zacharczał brzęczyk.

Znalazł się w szarym korytarzu, po którego ścianach ciągnęły się smugi, jakby wielokrotnie wnoszono tu i wynoszono wielkie segmenty mebli. Ciemna posadzka przypominała sklep samoobsługowy po trzydziestu latach działalności – mimo że codziennie go myją, stale wydaje się trochę brudny. Im słabsze było światło żarówki na suficie, tym mocniej kłuło w oczy. Przez okienko w ścianie, które kiedyś służyło zapewne portierowi, nie

* Woliery – wielkie klatki dla ptaków.

** Przed listopadem 1989 roku, czyli przed tak zwaną aksamitną rewolucją w Czechosłowacji.

sposób było zajrzeć do środka, ponieważ za szkłem wisiała zasłonka w kwiaty. Z pokoju wyszedł mężczyzna w koszuli i spodniach stanowiących część munduru. Wskazał miejsce naprzeciwko. – Proszę usiąść na moment. Zaraz się panem zajmę.

Ladislav wszedł do pokoju wypełnionego krzesłami z drucianą plecionką i gazetkami ściennymi, na których wisiały dokumenty odbite wcześniej na drukarce. Po jednej stronie siedziała kobieta o tlenionych włosach, lat około trzydziestu, po drugiej mężczyzna o zaczerwienionej twarzy, zapewne po pięćdziesiątce, z rozwieszoną brodą i w znoszonej płóciennej bluzie. Kobieta odwzajemniła Ladislavowi spojrzenie, mężczyzna wzrok miał wbity w podłogę. Co jakiś czas mruczał coś do siebie pod nosem. Ladislav usiadł w rogu i usiłował odgadnąć, co to za ludzie. Kobieta być może jest prostytutką, a mężczyzna bezpaństwowcem – pomyślał.

Usłyszał głosy dolatujące z korytarza i zobaczył, jak dwaj policjanci prowadzą kogoś w kajdankach.

Do poczekalni zajrzał mężczyzna w koszuli i spodniach od munduru: – Pani Valešová, zaraz spiszemy pani ukradzioną komórkę, a tym obrabowanym autem zajmujemy się później, panie Dvořák. Proszę was o chwilę cierpliwości, mamy nagły przypadek. Panie Albrecht, zapraszam pana. – Ladislav znalazł się na krześle przed biurkiem; zauważył na ścianach kartki z fragmentami urzędowych rozporządzeń i kolumnami numerów telefonicznych. Na rogach przypięte były taśmą klejącą lub pineskami bądź gwoździkami. Na półce obok zgniecionej puszki z oderwaną etykietką i różową zawartością stała niedopita fanta. Prawdopodobieństwo, że to lemoniada lub saponat, było jednakowe. Z kosza wystawała folia po kanapce. Ladislav musiał przesunąć nogi na bok, ponieważ biurko z jego strony miało pionową płytę sięgającą podłogi. W końcu o tę płaszczyznę w czereśniowym odcieniu, który nastrojał niemal optymistycznie, oparł swoje kolana.

Powtórzył wszystko, co powiedział mężczyźnie pełniącemu dyżur przy telefonie i policjant zaczął stukać w klawiaturę. Przy okazji załatwiał rozmowy na linii i odpowiadał na pytania ludzi, którzy pojawiali się w drzwiach obok okienka. Zaraz potem szybko odwracał się na krzesło i pochylał nad monitorem.

– A jak tam postępy w nauce? Czy chłopiec nie miał problemów w szkole, teraz przed półroczem? Czy kontaktował się pan z pańską byłą partnerką?

Ladislav na przemian to kręcił głową, to przytakiwał. W głębi duszy był zaskoczony, jak bardzo mężczyzna naprzeciw niego różni się od postaci z policyjnych anegdot. Zauważył także, że przesuwają się wciąż na krzesło i że się poci. Wyobraził sobie, kogo policjant widzi teraz przed sobą. Niepewnego faceta ze skłonnością do tycia, u którego świetlówka odsłania między włosami zapowiadającą się łysinę. Starał się opisać całą sytuację jak najdokładniej. Dla siebie zachował tylko jedną rzecz – wczorajszą sprzeczkę z Szymonem i to, jak się zakończyła. Na pytanie, czy przy ostatnim spotkaniu z synem nie zauważył czegoś niezwykłego, odpowiedział przeczącym ruchem głowy.

– Niech pan spróbuje znaleźć jakąś fotografię. Proszę przetrzeć fotki w pamięci komputera. Nie ma pan jej na przykład na Facebooku albo gdzieś w mailu?

Ladislav zaprzeczył ruchem głowy. Zasłużył w ten sposób na badawcze spojrzenie.

Policjant poczekał, aż z drukarki wyjdzie protokół, w którym większość miejsca zajmowało wyjaśnianie praw przesłuchiwanego.

– I co teraz będzie – odezwał się Ladislav, podpisując każdą stronę osobno.

– Teraz proszę iść do domu. Być może już wrócił, to się często zdarza. I niech pan spróbuje się znów zastanowić...

– ...gdzie mógłby być. Ja wiem. Ale co dalej?

Do kancelarii zajrzała kobieta o tlenionych włosach. – Chwileczkę – policjant wyprosił ją gestem wyciągniętej dłoni.

– Wszystkie patrole dostaną jego opis. Pan niech wraca do domu. W ten sposób najbardziej nam pan pomoże.

Ladislav podniósł się od biurka.

– Dziękuję panu. – Wahał się, czy ma podać policjantowi rękę. – Panie...

– Nazwisko i imię ma pan w protokole. Przede wszystkim proszę do nas zadzwonić, gdy tylko chłopiec wróci. Ludzie o tym zapominają.

Z poczekalni niesły się półgłosem przekleństwa brodacza na ogólne stosunki, uzupełnione wyliczeniami, ile razy skradziono mu już auto. Kobieta o tlenionych włosach, która czekała na korytarzu, zlustrowała podejrzliwie Ladislava. Wyszedł z uczuciem ulgi, które na chwilę przeważało nad wrażeniem, że właściwie niczego nie osiągnął.

Szymon Abeles 2

Szymon szedł o pół kroku za Hermanem, jakby był pomocnikiem z drukarni, ani obok niego, ani całkiem z tyłu. Oczy miał wpatrzone w ziemię, co jakiś czas rzucał wokół siebie ukradkowe spojrzenie. Gdy otworzyła się przed nim przestrzeń Starego Rynku, z niebem przetykanym wieżami kościoła Tyńskiego* i ratusza, zatrzymał się, jakby obawiał się iść dalej.

* Pełna nazwa: kościół Najświętszej Maryi Panny przed Tynem – zabytkowy kościół gotycki w Pradze, we wschodniej części Starego Miasta, należący do świątyni z zakorzenioną tradycją reformatorską; wielokrotnie trawiony przez pożary

Ominęli szerokim łukiem Żydowskie Miasto, a teraz zamierzali dotrzeć na Rynek ulicą Zapałczaną, która łączyła go z jarmarkiem staroci, targowiskiem w pobliżu kościoła św. Gawła, gdzie swoje stragany mieli żydowscy handlarze. Herman dopiero po niewczasie uświadomił sobie, że tą samą ulicą chodzili też Żydzi, kiedy chcieli wydostać się ze swojej dzielnicy. Rozejrzał się prędko, ale w półmroku nie dostrzegł żadnego żydowskiego kapelusza.

W zapadającym zmierzchu, przy straganach na rynku zaczynały pobłyскиwać płomyki woskowych świec.

Niepostrzeżenie przeszli obok sterty warzyw i skierowali się tam, gdzie lśniły nieruchome oczy żołnierzyków i lalek, rzemieślników, lekarzy i szlachciców. Widok ten przykuł uwagę Szymona.

– Figurek drukarzy pewnie nie macie, co? – spytał Herman dziadka, który za straganem bezdźwięcznie klaskał rękami w rękawiczkach o jednym palcu, żeby się rozgrzać. Oczywiście w ofercie była też figurka Żyda, zgarbionego nosatego stwora bawiącego się księżycem. Szymon dotknął ostrożnie figurki rycerza. Gdyby Herman, będąc chłopcem, przyniósł coś takiego do domu, ojciec od razu zacząłby mu opowiadać o mordowaniu niemieckich Żydów w czasie wyprawy krzyżowej, która odbyła się wprawdzie przed setkami lat, ale nigdy nie wolno o niej zapomnieć. Rycerz miał na tarczy krzyż. Herman wyobraził sobie, co by powiedział na to jego ojciec: *A co tam robi ten znak?* Inaczej krzyża nie nazywał. Szymon spojrzał pytająco na Hermana.

– Weź go sobie. I wybierz jeszcze innego, żebyś miał przynajmniej trzech. – Z Szymona opadło napięcie, po raz pierwszy się uśmiechnął.

i odbudowywany; w 1621 roku, po bitwie pod Białą Górą, kościół ponownie znalazł się w rękach katolików.

Z kupnem ubrania uporali się szybciej, handlarka rozumiała, że ojciec nie ma miary w oku i sama wybrała odpowiednie rzeczy. Herman pobrzękiwał woreczkiem z pieniędzmi, żeby zbytnio nie przypatrywała się dziwnemu ubiorowi Szymona. Nawet jednak w migocącym świetle świeczki, której płomieniem kołysał lodowaty wiatr, zauważyła przypalone włosy. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

– Oferma jedna – rzucił prędko Herman – chyba nigdy nie nauczy się dokładać do pieca.

– Już się wystraszyłam, że był u was pożar! – odpowiedziała. – Niech nas Pan Bóg chroni przed podpalaczami! Przecież wiecie, skąd wieje wiatr – z Żydowskiego Miasta! – Mówiąc to, przeżegnała się tak zamasyście, że Szymonem aż zatrzęsło.

– Boisz się, prawda, chłopczyku? – baba schyliła się w stronę Szymona. Herman nie chciał się z nią sprzeczać, że żadnego żydowskiego podpalacza nigdzie nie wykryto – i że wielki pożar zniszczył przed kilku laty prawie całe Żydowskie Miasto. Wolał się nawet nie targować, byleby tylko już mogli sobie pójść.

Po drodze Herman znowu uświadomił sobie, że coś się zmieniło. Szymon nie szedł już za nim – szedł teraz u jego boku. Wspólne zakupy jakby ich zbliżyły. Hermanem targało dziwne uczucie; miał wrażenie, że przypomina to wyprawę z pomocnikiem z drukarni, ale teraz to było coś innego. Chyba zaczęli być podobni do owych par ojców i synów, których widywał zarówno w chrześcijańskiej, jak i żydowskiej części miasta.

Być może to jego wrażenie wiązało się z faktem, że Szymon wyraźnie się uspokoił i zaczął obserwować ulice ciekawymi, inteligentnymi oczyma.

– Chodźcie na targ rano? – zapytał Hermana.

– Właściwie rzadko. A ty? – odpowiedział drukarz, zakładając, że chłopiec raczej tu nie przychodzi.

– Regularnie. Mieszkamy obok Starego Cmentarza Żydowskiego, a ojciec ma tam stragan na jarmarku staroci. Za każdym razem idę do niego właśnie tędy. Ze zleceniami posyłają mnie nawet dwa razy dziennie. Ojciec sprzedaje tam głównie rękawiczki – rozgadał się Szymon, jakby opowiadał o swoim domu jakiemuś krewnemu. Herman nie spuszczał z niego oka. Zauważył, że chłopiec, idąc, kołysze się i że poła jego płaszcz porusza się w rytm kroków. Uświadomił sobie również, że chłopiec zachowuje się tak, jakby stale jeszcze mieszkał w pobliżu Starego Cmentarza Żydowskiego. Jakby nie zdawał sobie sprawy, jaką granicę przekroczył. Wydawało się, że nie jest świadomy, iż po jej naruszeniu bardzo trudno będzie mu znaleźć drogę powrotu.

I wtedy Herman zrócił się ku własnym pragnieniom. Jak by to było, mieć syna? W oczach mijających go przechodniów wyczuwał podziw, z jakim w żywym wyrazie twarzy Szymona dopatrywali się podobieństwa do Hermana. I chociaż było to tylko złudzenie, ogarnęło go uczucie dumy. Wydawało mu się, że nabrał większej pewności, niż gdyby chodził ulicami sam. Jakby teraz był kompletnie spełniony – chociaż wcześniej nie miał wrażenia, żeby mu czegoś brakowało.

Myślami wrócił do jeszcze odleglejszej przeszłości; do czasów, gdy sam chodził po ulicach Żydowskiego Miasta u boku swojego ojca. Przypomniawszy sobie, jak zatrzymywali się z przyjaciółmi. Jak ojciec poklepywał go z dumą po ramieniu. Jak opisywał sukcesy Hermana w chederze. I z jaką radością przyjmował słowa uznania ze strony kolegów. Herman wtedy niemal się za niego wstydził; ojcowska duma wydawała mu się przesadnym, zbyt ostentacyjnie przejawianym uczuciem.

Nagle z lękiem uświadomił sobie, że chłopca ktoś może rozpoznać. Żydowskich chłopców spotykali niewielu. Herman miał w zwyczaju spuszczać przed nimi wzrok, ale teraz starał się

odgadnąć w ich oczach błysk rozpoznania. Nie, ta dwójka z naprzeciwka minęła ich obojętnym wzrokiem. Chrześcijański wygląd Szymona był widocznie doskonały.

W sieni domu doszedł ich przyjemny zapach. Szymon aż zamilkł. Na ścianie płonęło łuczywo, a zimny lutowy mrok za oknami wyglądał teraz jak ciemna woda, która zalała miasto aż po dachy. Ciemno *jak w żydowskim tobołku*, przypomniał sobie przysłowie zasłyszane w chrześcijańskiej dzielnicy. Drzwi od kuchni wypuściły jeszcze większą porcję zapachu, ciepło i światło.

Rano Herman cicho wszedł do pracowni, gdzie przygotowano chłopcu posłanie na podłódze, żeby mu zabrać nowe ubranie. Oznajmił Marii, że idzie na targ. Służąca wybałuszyła oczy ze zdziwienia.

– Nie zamierzam robić zakupów, głupia. Chcę tylko posłuchać, co ludzie mówią.

– Czy chłopiec się gdzieś nie zgubił? – spytała. Myślała o tym. Herman omal się jej nie zwierzył, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Musi pozostać służącą, skoro on ma być nadal panem.

Wziął ze sobą koszyk i włożył do niego kilka książek z drukarni. Beszonised posyłał go z nimi, by próbował szczęścia, kiedy księgarze spóźniali się z zapłatą. Mistrz drukarski musiał więc iść na targ jak baba z jajkami, ale teraz akurat cieszył się, że ma jakiś pretekst. Mijał wracające gospodynie, z ich koszyków zwisała nać selera i wystawały poskręcane korzenie chrzanu.

Nawoływania kupców mieszały się z pytaniami klientów. Herman przewiesił sobie koszyk przez ramię, jakby mu zależało, żeby książki były dobrze widoczne, i przedzierał się między kramami. W mieszaninie rozmów nasłuchiwał słowa *chłopiec*. I nagle je usłyszał. Nie musiało to jeszcze niczego oznaczać. Kobiety często

opowiadały o swoich rodzinach, kiedy akurat niczego nie sprzedawały. Potem usłyszał *zgubić się*. A następnie *wczoraj*. Było to jak przygotowywanie tekstu do składu, gdy z poszczególnych liter układa się wersy. Formuje się je w wierszowniku, skąd wędrują na płytę drukową. W końcu tekst pojawia się na papierze. *Żydzi*. Herman był pewien, że się nie przesłyszał. A chwilę później: *Chce zostać chrześcijaninem*.

Kiedy ją zobaczył, ścisnęło mu się serce. Gęste wełniste włosy, które wyglądały, jakby były rzeźbione w zamorskim drewnie, schowała pod kapuzą. Mimo to ją poznał: głowę miała lekko przechyloną, w taki sposób nie nosiła jej żadna inna. Wiedział, że kiedy spojrzy jej w twarz, ujrzy dobrze mu znane wyraziste brwi, trochę kontrastujące z dziecięcymi ustami.

– Szczęść Boże łaskawej panience! Czy nie miło sobie poczytać, kiedy w domu znajdzie się chwilkę dla siebie? – zagaił jak prawdziwy kupiec.

– Hirszu! – wyszeptwała.

– Te książki wyprowadziłyby was z błędu! – kontynuował drukarz. Baba, która stała najbliżej, zaśmiała się, że tak pięknie przemówił do Żydówki. Kapuza jej nie zmyliła, a suknia zdradzała, skąd kobieta przyszła. Herman posłał babie porozumiewawczy uśmiech, ponieważ śmiech handlarki był dla niego najlepszą ochroną. Teraz nikt go już nie będzie podejrzewać, że ma jakiś interes z Żydówką. Odeszli do straganu.

– Więc przyszedłeś na zakupy?

– Czemu cię to interesuje, Hirszu?

– Masz pusty koszyk.

Wymienili kilka zdań o niczym, jakby się bali poważniejszej rozmowy. Hermanowi krew zaczęła żywiej krążyć, wystarczyło, że przez chwilę był z Leą i od razu poczuł własne tętno. Walczył z pragnieniem objęcia jej, nasycenia się jej zapachem.

– Ja udaję, że coś kupuję, ty udajesz, że coś sprzedajesz – powiedziała. – Szymon się zgubił. Obeszliśmy sąsiadów, ale...

– Nie ma go u kolegów?

– Zginęło też jakieś ubranie.

Słuchając jej, miał wrażenie, że znowu stoją na jednej z uliczek Żydowskiego Miasta, on, niespokojny młodzieniec, i ona, powabna dziewczyna. Rowki wokół jej ust pogłębiły się teraz ze skupienia tak samo jak wtedy.

– W ostatnim czasie żyło się u nas smutno. Szymon zaczął mówić, że chce zostać chrześcijaninem. Uznaliśmy to za jeden z jego wymysłów. Wydawało mi się, że dostał kolejnego ataku, tylko że w inny sposób. W czasie padaczki zawsze upada na ziemię, trzęsie się w skurczach, ale potem się uspokaja. Teraz zaczął się zachowywać tak, jakby stał się kimś innym. I nie pozwolił sobie tego wyperswadować. Nie możesz sobie wyobrazić, jak Łazarz się zamartwia – szepnęła Lea.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał Herman, mając przed oczami obraz swego ojca. Uświadomił sobie, jak rzeczowo Lea opisuje zdarzenie, które musiało wstrząsnąć rodziną. Tak, Szymon przecież nie jest jej rodzonym synem. I wtedy przypomniał sobie, że podobny ton przybrała też wówczas w ulicze.

– Szkoda, że nie dałaś się wtedy przekonać.

Od razu go zrozumiała: – To rodzice, Hirszu. Przypomnij sobie. Nie mogłam im zrobić czegoś takiego.

– To ty posłałaś do mnie Szymona?

– Zaczął się o ciebie wypytywać. Więc mu opowiedziałam, że zawsze chciałeś żyć po swojemu i co twoja decyzja znaczyła dla twojej rodziny. Nie przyszło mi do głowy, że z moich wspomnień wywnioskuje coś zupełnie innego...

– Ja przede wszystkim chciałem żyć z tobą.

– Hirszu. Sam wybrałeś swoją drogę. Tak jak Szymon. Łazarz traktował jego wypowiedzi o chrześcijaństwie poważnie. Trzymał go w domu, poprosił Löbla Kurtzhandla, żeby przychodził do nas studiować z Szymonem Talmud. Wyprzedził w swoim sklepie magazyn i spłacił długi. Mieliśmy się przenieść do Francji, gdzie Szymonowi wybiliby te jego fantazje z głowy. Bylibyśmy już we Francji. Mogliśmy zacząć od nowa. Ale teraz nie mogę podróżować.

Lea położyła rękę na swoim brzuchu. Herman zauważył, że jest zaokrąglony, ogarnęło go uczucie żalu, a jednocześnie zdumienia. Po co właściwie do niego przyszła?

– Czy Szymon jest u ciebie? – spytała Lea. Herman posmutniał, ponieważ zrozumiał, że lęk w jej głosie nie ma nic wspólnego z nim. Wypytuje go z powodu Łazarza.

Nagle między straganami zobaczył kapelusz, jaki nosili Żydzi. Płynął sobie wysoko, podobny do korabi, które pływały na rycinach w książkach o dalekich krajach. I to nie dlatego, że właściciel kapelusza był wysokiego wzrostu. Przysadzisty młody mężczyzna wzrostem się nie wyróżniał. Wśród chrześcijan jednak wcale się nie garbił, wręcz przeciwnie. Nawet swój sterczący kołnierz, który Żydzi musieli obowiązkowo nosić, z dumą wystawiał na ich spojrzenia. W cieniu kapelusza płonęły oczy.

– Idzie tutaj Löbl – szepnął.

– Nie byliśmy sobie pisani, Hirszu. Ale nigdy o tobie nie zapomniałam.

– Ja... Nie musisz się obawiać o Szymona.

Chciał ją uspokoić, opisując, jak się do tej pory troszczył o chłopca. Zamilkł jednak. Wyobraził sobie nagle, że kiedyś w przyszłości Lea wyjdzie za niego. Dlaczego nie mogliby mieć syna? Nie. To były tylko zwidy. Zmieszał się, wyrzucał sobie bezsensowne marzenia. Szymon, który nie był potomkiem żadnego z nich, jakby nagle pojawił się między nimi.

Wcisnął Lei do ręki pierwszy egzemplarz, jaki wymacał w koszu. Piękny kancjonał, który Łazarz chętnie podłożył do ognia. Herman skręcił pomiędzy stragany, gdzie jego wzrok przeslizgiwał się po marchwi, cebuli i chrzanie, w rzeczywistości nawet ich nie widząc. Zamiast zwyczajnych kształtów widział dziwne zawijasy, jakby sprzedawano tam małe golemy albo ludziki z korerzenia mandragory – które podobno wyrastają tam, gdzie padnie nasienie wisielca.

Daleki krewny rodziny Abelesów i domowy nauczyciel Szymona, Löbl Kurtzhandl był już niedaleko. Herman słyszał, jak głośno i ze złością mówi do Lei:

– To się nie stało ot tak sobie, że za naszym chłopcem zapadła się ziemia. Ja i tak mam przeczucie, że uciszyli go gdzieś ci niewierzący. Dobrze wiedział, jak chrześcijanie patrzą na Żydów, i zależało mu na tym, żeby im odpłacać tą samą monetą. Lea pospiesznie odciągnęła go od przekupek, które w popłochu zaczynały zrzedzić.

Szymon Albrecht 3

Ladislav przewracał się w łóżku; starał się nie przegapić zgrzytu zamka w drzwiach. Gdy tylko się zdrzemnął, wyrwało go ze snu wrażenie, że w przedpokoju zapaliło się światło. Nie udało mu się porządnie zasnąć już do samego rana.

Kiedy zadzwonił budzik w komórce, poszedł zajrzeć do przedpokoju. Butów Szymona nie było. Przez chwilę miał nadzieję, że zszedł je przy łóżku, choć nigdy tego nie robił. Z progu jego pokoju wrócił do kuchni.

Nastawił wodę na herbatę i odruchowo przygotował sobie śniadanie, na które nie miał apetytu, jakby powtarzaniem codziennych rutynowych czynności chciał wyczarować powrót Szymona. Już w nocy postanowił, że uda się do jego szkoły. Poza Mary i policją była to jedyna możliwość, jaka mu pozostawała. Żałował, że nie poszedł na ostatnie zebranie klasowe, więc nie zna nawet wychowawczyni Szymona. Na zebraniu była Mary, jak zawsze do tej pory. Potem zdąży akurat na inaugurację badań w kościele Tyńskim.

Zastanawiał się, gdzie zostawić wiadomość, gdyby syn tymczasem powrócił. Przyszło mu do głowy, że przylepi żółtą karteczkę na butelkę mleka. Szymon po przyjściu do domu przeważnie zalewał najpierw płatki zbożowe. Pozostawiona butelka mleka na stole bywała zazwyczaj pierwszą rzeczą, jaką Ladislav dostrzeżał po wejściu. Regularnie wchodził do pokoju syna, żądając, aby ją sprzątnął, ale następnego dnia znowu tam była. Co będzie, jeśli tym razem nie zrobi sobie podwieczorku? – pomyślał. W końcu przylepił wiadomość na monitorze jego komputera.

Gdy tylko zbiegł po schodach, z domu naprzeciwko wyszła młoda kobieta w wełnianym szalu osłaniającym jej usta. Łypnęła na niego spod nasadzonej czapki. Ladislav przypomniał sobie, że już kilkakrotnie minął ją bardzo blisko na rogu ulicy, która prowadzi do głównej alei. (Mury tworzyły tam niespodziewanie kąt rozwarty, ponieważ za rogiem otwierał się okrągły placyk. Chodnik zwężał się, a w dodatku jego część zajmował pień drzewa oraz automat parkingowy. Piesi zazwyczaj przechodzili bardzo blisko muru.) Zawsze wtedy zastanawiał się, czy ta kobieta nie mieszka przypadkiem w domu naprzeciwko. Kolor włosów, wzrost, wszystko w przybliżeniu się zgadzało, na ile potrafił odgadnąć. I było jeszcze coś więcej, być może ten jej energiczny sposób chodzenia. Kobieta z naprzeciwka zakładała koszulkę

z jednakową zręcznością. Nigdy jej nie zagadnął. Nie potrafił wymyślić żadnego pretekstu i prawdę mówiąc nie zamierzał.

Być może Mary wcale nie przesadza, twierdząc, że on nie potrafi rozmawiać z żywymi ludźmi, ponieważ ciągle zajmuje się nieboszczykami. Ta jej napaść, którą zawsze lekceważył jako zbyt łatwą, teraz go dość mocno zabolala.

Dawniej preferował kombinację fasad z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku; nieomal senną atmosferę ustronnej uliczki na granicy między Vinohradami a Vršoviciami. Mimo że domy były najwyżej czteropiętrowe, panował w nich łagodny półmrok, jak na dnie jaru zarosłego roślinnością, gdzie nawet w ciągu dnia czuje się przyjemny chłodek. Pobliskie ulice z powodu pagórkowatego terenu były kręte, więc ktoś, kto się w nich nie orientował, z trudem trzymał kierunek. Teraz chciał prędko stąd odejść.

Postanowił przyspieszyć, żeby jak najwcześniej dotrzeć na przystanek, skąd Szymon każdego rana odjeżdżał do szkoły. Minął czynną przez całą dobę kwiaciarnię, gdzie nad ranem wszystkie sprzedawczynie wyglądały najwyżej na szesnaście lat i wносиły do środka dostawę świeżych kwiatów. Przeważnie było mu ich trochę żal z powodu tej harówki. Wydawały mu się zbyt delikatne i zazwyczaj też za lekko ubrane. Taszczyły te wiązanki na mrozie w dresowych bluzach, a kiedy się nachylały, spod obcisłych dżinsów wystawała im bielizna. Zerkał na nią, gdy na zewnątrz paliły papierosy, wydawały mu się młodziutkie, choć jednocześnie szorstkie. Teraz myślał o Szymonie. W przeciwieństwie do niego, tutaj przynajmniej były bezpieczne, na swoim miejscu, tam, gdzie zawsze. Ze sklepu doleciał zapach kwiatów, ten chłodny zapach przypomniał mu święta i zarazem pogrzeby.

Na chodniku za kwiaciarnią wróciło na moment wspomnienie wspólnych spacerów z Szymonem. Wtedy Szymon był jeszcze mały. Chłopiec podskakiwał obok niego, brał go za rękę i ciągnął za

sobą lub w geście udawanego sprzeciwu pozwalał się ciągnąć. Kiedy ostatnio chodzili razem, Szymon przeważnie mocno przyspieszał kroku i Ladislav z trudem za nim nadążał.

W tramwaju kołysali się młodzi w obcisłych dżinsach i quasi-sportowych butach na cienkich podszewkach, w których z pewnością musiało być im zimno. Obserwował ich kosmyki zaczesane na bok, pukle wystające spod czapek, długie sterczące daszki. Niektórzy słuchali muzyki przez słuchawki. Inni rozmawiali przesadnie głośno, jakby musieli przekrzykiwać muzykę, choć mieli jedynie nauszники. Ladislav zastanawiał się, który z nich mógłby być szkolnym kolegą Szymona. Nie zebrał się jednak na odwagę, żeby ich zapytać.

Przypomniawszy sobie, jak zachowywał się Szymon, gdy Ladislav wracał do rodziny w każdy piątek wieczorem. Ledwie włożył klucze do zamka, z drugiej strony rozlegały się szybkie kroki, potem tępe uderzenie, jakby czyjeś ciało w rozpędzie nadziało się na drzwi. Następnie cichy szmer, jakby czyjeś palce skrobały w drzwi z drugiej strony. Kiedy je otwierał, musiał odepchnąć mocniej, ponieważ Szymon zabawiał się w blokowanie wejścia. Nagle drzwi puszczały, gdy chłopiec odskakiwał, biegł z powrotem, a potem się rozpędzał i rzucał w objęcia Ladislava. Dotąd przywoływał w pamięci jego rozpalone oczy. Krótco przed tym, gdy Szymon przeprowadził się do niego, dokonana się ta zmiana. Jakby w jego oczach powstała kolejna przeźroczysta powieka, podobna do tej, jakie mają płazy. Szymon wbijał w niego wzrok bez śladu zainteresowania; osie spojrzenia dziwnie mu się krzyżowały, jakby nie potrafił go wyostrzyć.

Tato! Tatusiu! Nareszcie jesteś tutaj! – przypomniał sobie Ladislav jego okrzyki, gdy wracał z pracy. Nagle wróciło do niego tamto jego wrażenie, że wszystko jest w porządku. Wprawdzie nie ma go w dni powszednie, ale w czasie weekendów potrafi swojej

rodzinie wszystko wynagrodzić. Nie pamiętał, jak bardzo podczas tych jego powrotów Mary musiała robić dobrą minę do złej gry.

W tłumie wlewającym się przez bramę szkoły czuł się nieswojo. Na tle innych był zbyt wysoki i barczysty, a przede wszystkim absurdalnie powolny. Starał się, żeby nikogo nie potrącić, wszyscy go wyprzedzali. Uczniowie poruszali się energicznie, poufale tręcali się łokciami, podczas gdy Ladislav szedł między nimi samotny, pokornie sunąc do przodu.

Dobrze znana mu architektura z początku dwudziestego wieku, wszystkie te neorenesansowe gzymsy, pseudobalkonowe kolumnienki, upozorowane kamienne płyty, wymodelowane z tynku, zawsze wydawały się Ladislavowi zabawne. Szkoła na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie solidnego instytutu z czasów upadłej monarchii, gdzie na fasadzie w jaskrawy sposób powtarzały się dawne style architektoniczne. Jednocześnie wyglądała trochę jak dworzec kolejowy, z którego odjeżdża się wyłącznie na wycieczki; nigdy na wojnę. Jakby ten nieco małowieszczański rozmach oczekiwanej prosperity, ostrożnego zadufania w sobie i trzeźwej nieoryginalności mógł coś zagwarantować także dzisiejszym czasom. Ladislav znał do tej pory szkołę Szymona jedynie z zewnątrz.

Dyrektor miał szeroką, budzącą zaufanie twarz i potężną posturę. Od razu wskazał Ladislavowi skórzane krzesło, a sam usiadł naprzeciwko. Zdecydowanym gestom towarzyszył wyraz skupienia, którym jakby z góry zapewniał Ladislava, że nie lekceważy jego sprawy. W gabinecie czuło się zapach kawy, który mieszał się z kancelaryjną stęchlizną dywanu oraz ciemnych paździerzowych mebli liczących co najmniej dwadzieścia lat i wytartego obicia na fotelach.

Kiedy Ladislav wyjaśnił już, po co przyszedł, dyrektor zamilkł na chwilę. Jakby chciał go upewnić, że poświęca sprawie dostateczną uwagę. Następnie poprosił sekretarkę, żeby wezwała

wychowawczynię Szymona, która już po chwili wśliznęła się do pokoju. Ladislav przyjrzał się czterdziestolatce, której na ulicy pewnie by nawet nie zauważył. Niczym go nie zraziła, ale też i zbytnio nie zainteresowała; na koniec odniósł wrażenie, że może jej ufać. Pewnie tak bardzo tego pragnął, że sam w to uwierzył. Szukał jakiegoś znaku świadczącego o tym, że kobieta wie o Szymonie coś, o czym on nie ma pojęcia. Przedstawili się, a dyrektor zachęcił ją kilkoma słowami i kobieta od razu się rozgadała. Szymon nie należy do tych uczniów, z którymi byłyby jakieś problemy w klasie (*ponieważ i tak myśli tylko o tych swoich grach* – odpowiedział sobie w duchu Ladislav). Także w ostatnim czasie nie zauważyła u niego nic szczególnego. Postępy w nauce ma średnie.

– Mogłaby nam pani powiedzieć, z kim się przyjaźni w klasie?

– On jest dość zamknięty w sobie. Co prawda w ostatnim czasie wydał mi się jeszcze bardziej zamyślony niż wcześniej. W przypadku dojrzewających chłopców trudno jednak odgadnąć, co się w ich wnętrzu dzieje. Nie zauważyłam żadnych niepokojących oznak, które wskazywałyby na... na jakiś problem.

– Szymon nie bierze żadnych narkotyków – wtrącił Ladislav. Chyba po raz pierwszy Szymonowe przesiadywanie przed komputerem wydało mu się zaletą.

– Myślę o takim choćby problemie, jak sytuacja w rodzinie. Niekoniecznie w pańskiej, mówię ogólnie. Tych przyczyn może być cała masa – zauważyła profesorka. Ladislav milczał, nie chciał zaprzeczać, że żaden rodzinny problem nie istnieje, żeby nie wzbudzić odwrotnego wrażenia. Profesorka przeprosiła, że zaczyna się już lekcja, i wstała. Z ulgą, jak się Ladislavowi wydało.

– Z doświadczenia wiem, że dorastająca młodzież przeważnie sama wraca do domu. Jest jednak rzeczą niezmiernie ważną, żeby

potem z nimi porozmawiać. Polecam panu naszego doradcę do spraw wychowania – zaproponował dyrektor.

– Czyli jedyne, co można zrobić, to czekać? Szymon może być gdzieś zamknięty z grupą fetyszystów, jakiś zboczeniec może go trzymać w piwnicy... – Ladislav wyrzucał z siebie wyobrażenia, które do tej pory skutecznie tłumił. Sprowokowała go uważna i życzliwa twarz dyrektora. Jeszcze zanim skończył mówić, wiedział, że niepotrzebnie go obwinia.

– Przepraszam. Proszę mi dać jakieś namiary na rodziców kolegów Szymona – poprosił Ladislav po chwili ciszy.

– Pan jeszcze z nikim się nie zna, choćby z zebrań klasowych?

– Szymon mieszka ze mną od pięciu miesięcy. W ostatnich zebraniach uczestniczyła moja eks – wyjaśnił Ladislav. Miał wrażenie, że w ten sposób teoria o rodzinnych problemach potwierdziła się. Uśmiech dyrektora rzeczywiście nieco osłabł.

– W podobnych przypadkach namiary na rodziców kolegów udostępniamy wyłącznie policji.

– A oni już tutaj byli?

– Kapitan Jirsa zadzwonił od razu. Prosił nas już o listę kontaktów. Zatrzymamy ją dla niego.

– A... czy nie byłoby lepiej, gdyby Szymona próbowało szukać więcej osób? Może rodzice powiedzieliby mi o czymś, o czym nie powiedzieli policji...

– Jeśli Szymon w ciągu dzisiejszego dnia się nie pojawi, to proszę do mnie zadzwonić – wzruszył ramionami dyrektor. Nie brzmiało to jak wyrażenie zgody, ale Ladislav zrozumiał, że nic więcej nie osiągnie.

Wsiadł do tramwaju, żeby jak najprędzej wrócić do domu. Teraz już żadne wyrostki z nim nie jechały. Przypomniał sobie ich fryzury i wtedy postanowił zatrzymać się w salonie fryzjerskim, w którym strzygł się jego syn. Przecież klienci rozmawiają

z fryzjerem – przekonywał sam siebie. Uświadomił sobie, że takie wyobrażenie zaczerpnął raczej z kina. On sam na fotelu fryzjerskim zawsze milczał, bo wtedy dobrze mu się myślało o prowadzonych właśnie badaniach.

Salon znajdował się przy jednej z przecznic dochodzących do Placu Waława. Mieli tam trzy razy wyższe ceny niż w lokalu nad pocztą, z napisem *fryzjer damski i dziecięcy*, ale Ladislav chciał Szymonowi dogadzać. Starał się, żeby Szymon po przeprowadzce do niego czuł się dobrze.

Otwierano na szczęście już o ósmej. Za ladą w recepcji nie było nikogo; przy ścianie stała szafa z wyeksponowanymi kosmetykami. W powietrzu unosiła się mieszanka zapachów perfum, szamponów i innych specyfików, których Ladislav nie umiał rozpoznać. Młoda kobieta w obcisłej różowej koszulce zamiatła podłogę miotłą, która miała szczeciny ze sztucznego tworzywa w takim samym różowofioletowym odcieniu jak jej paznokcie. Ladislav odniósł wrażenie, że okręcają się wokół trzonka miotły. Odcień jej opalenizny był zbyt mocny, by mogła go uzyskać w naturalny sposób. Ladislav wyjaśnił, że szuka Szymonowego fryzjera. Dziewczyna podeszła do komputera na recepcji, wpisała imię i nazwisko i powiedziała: – Szymona strzyże Jan. – Janieeee!

Z zaplecza wyszedł młodzieniec w spodniach trzy czwarte, z uśmiechem, który nie zniknął ani na chwilę w czasie rozmowy z Ladislavem. Na łydce miał wytatuowany jakiś przetworzony znak, jakby to było nadrukowane logo lub inna grafika. Jan patrzył na Ladislava przez okulary w masywnych oprawkach, takich, jakie nosili intelektualści w latach sześćdziesiątych. Te pochodziły jednak bez wątplenia od współczesnego designera. Nosił kosmyk jak chłopcy w tramwaju, ale Ladislav uświadomił sobie, że jego fryzura jest bardziej wyrafinowana. Bardziej niedbała, a zarazem intrygująca. U pasa zwiisał mu kolorowy sznur, łukiem zakręcający

znowu w górę, zapewne ku kluczom w kieszeni. Stał rozkraczony w miodowych drewniakach.

– Szymon. No jasne – Ladislavowi podskoczyło serce. – Czego by pan sobie życzył? – Jan nadal uśmiechał się, jego oczy jednak spoważniały:

– Hm, o żadnych *friends* nigdy nie mówił. On w ogóle za wiele nie opowiadał.

Dziewczyna zaczęła zamiatać tuż przy butach Ladislava.

– Ja już wychodzę – powiedział do niej, starając się, żeby nie brzmiało to nieprzyjemnie.

– Proszę zaczekać. Teraz sobie przypomniałem. Kiedyś zapytał mnie, czy znam fryzurę pewnej postaci... Z czego to było... Nie, nie z reklamy. Z żadnego filmu ani serialu... Oczywiście. Battle Church.

– Proszę?

– Szymon odpala Battle Church. To taka gra komputerowa. A ci fani tworzą wspólnotę i powinni się nawzajem znać.

– Dzięki! Wielkie dzięki! Nie wie pan, jak się z nimi skontaktować?

– Może przez Facebook?

– No... a nie dałoby się jakoś inaczej? – Ladislavowi nie chciało się wyjaśniać, dlaczego nie ma profilu na Facebooku.

– Sklepy z gramy są wszędzie, najpewniej w supermarketach. Chociaż akurat Battle Church...

Ladislav wybiegł na ulicę. Powinien już być w kościele Tyńskim. Zadzwoił do swojego asystenta Tomasza i opowiedział mu, co się wydarzyło. Nie dopuścił go do słowa, ponieważ Tomasz angażował się w prace badawcze bardzo aktywnie, a Ladislavowi nie zależało ani na jego rozterkach, ani na radach. Poinformował go, że zajrzy jeszcze do domu, żeby się upewnić, czy nie ma tam Szymona. Następnie zadzwonił do syna, kilkakrotnie powtarzając

tę czynność, po czym odwiesił telefon. Już go to nie deprymowało. Przypomniało mu wrażenie, jakie miał na początku prac badawczych. Największe wątpliwości ogarniały go w czasie opracowywania podstawowych teorii. Gdy tylko zaczynali zapuszczać sondy, opanowywała go gorączka poszukiwawcza. I teraz miał już jedną teorię.

Ladislav udał się w supermarkecie do sklepu z grami komputerowymi, o którym sobie nie bez trudu przypomniał. Nigdy przedtem do niego nie wchodził. Szymon sam sobie kupował gry, a jego prosił jedynie o pieniądze. Ladislav dawał mu je, uważając, że przecież nie będzie nękał go pytaniami, na co dokładnie je przeznaczy.

Młodzieńcy podobni do tych w tramwaju pochyłali się w sklepie nad szybą pulpitu lub przeglądali towar w naściennych witrynach. Plastikowe pudełka z obrazkami na pierwszy rzut oka przypominały płytki DVD z filmami, a jednocześnie zauważył, że się różnią, nie potrafił jednak rozpoznać czym.

Starannie ogolony młody mężczyzna w okularach obserwował wszystko z dziwnym uśmiechem. Miał na sobie sportowe ubranie, które z pozoru wyglądało na firmowe, ręce założył na piersiach i z lekka się uklonił. Jak gdyby dawał do zrozumienia, że chętnie udzieli klientom porady, mając jednocześnie o ich znajomości gier komputerowych swoje własne zdanie.

– Czy ma pan Battle Church? – zapytał Ladislav.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny. – Ma pan na myśli War of Religions? Wyszła tylko w limitowanej serii. I już jej nie ma.

– Wie pan, naprawdę potrzebowałbym jej. Jako... Jako prezent. Dla syna na urodziny – próbował coś wskórać Ladislav.

– Naprawdę nie mogę panu pomóc.

– Może pamięta pan mojego syna. Na pewno tu do was przychodzi – dodał Ladislav. Zaczął opisywać wygląd Szymona i uświadomił sobie, że używa tych samych formułek co przy

zapisie protokołu. Mary nosiła fotografię Szymona w portmonecie, a on nie miał żadnej jego podobizny. Wydawało mu się to zbędne, ponieważ starał się spędzać z synem każdy weekend, kiedy pracował jeszcze w terenie, no a teraz przecież widywał się z nim codziennie. Już po raz kolejny od zniknięcia Szymona wyrzucał sobie brak jego fotografii.

Sprzedawca skoncentrował się: – Przy tak dużej liczbie klientów nie może pan oczekiwać, że zapamiętam każdego z osobna – wskazał na wyrostków. Unieśli głowy, zaczęli badawczo patrzeć na Ladislava i ściszyli głosy. Ladislav pomyślał, że właściwie powinni być w szkole.

– A pan? Czy pan od czasu do czasu sobie nie zagra? – zapytał sprzedawcy.

– Gdzie tam. Mnie wystarczy biznes. Nie to, żebym sobie czasem w weekend nie odpalił... Ale mnie się podobają inne *gamesy*. Mnie te historyczno-strzeleckie za bardzo nie rajcuja. A poza tym Battle Church nie jest tylko zwykłą grą.

– Dlaczego? – spytał Ladislav, chyba zbyt natarczywie.

Młodzieńcy jakby uświadomili sobie, że w sklepie dzieje się coś niezwykłego i zaczęli się wycofywać.

– Musiałby pan spytać któregoś z nich.

Tylko że w sklepie nagle zrobiło się pusto. Kiedy Ladislav wyszedł na zewnątrz, zobaczył jedynie zadbane kobiety, które niespiesznie szły korytarzem i od czasu do czasu zerkały na witrynę. Błyszcząca marmurowa podłoga przypominała mu posadzkę w kościele. Wyciągnął komórkę i zadzwonił do Tomasza, że już jest w drodze. Tym razem poczekał na jego reakcję i usłyszał w jego głosie zdziwienie; no bo jednak gdy chodziło o prace badawcze, to Ladislav do tej pory meldował się zawsze jako pierwszy.

Mimo woli ujrzał w witrynie swoją własną postać. Mignął mu przygarbiony facet o rzednących włosach i twarzy, z której

nie można było wyczytać jakichkolwiek uczuć. Zauważył, że ubranie na tym mężczyźnie w odbiciu dziwnie zwisa, jakby było wypożyczone. Przyspieszył kroku, żeby jak najprędzej znaleźć się w kościele.

Szymon Abeles 3

– Stoisz u źródła naszego przyszłego bogactwa – zawołał Beszonised. Bystre oczka biegały tam i z powrotem, w zapale odruchowo szarpał bródkę. Potem założył ręce na rosnący z powodzeniem brzuch. Beszonised wyglądał jak Żyd łasy na pieniądze, tak jak powszechnie postrzega się Żydów, był jednak przykładnym chrześcijaninem. Zawezwał Hermana do swojego kantorka, za plecami drukarza została kaszta* ze składem i prasa drukarska, wokół której kręcili się pomocnicy, przyciskając śrubą papier do czcionek. Czuć było zapach farby drukarskiej i schnących stronic.

– Ojciec Johann obiecał na razie załatwić tylko ubranie i zabawki – przypomniał Herman. – Jaką korzyść mogłaby mieć drukarnia z jakiegoś chłopca?

– Nie udawaj, że mnie nie rozumiesz, mistrzu! Już widzę tę ulotkę, którą wydamy! Były Żyd pomaga wywieść żydowskiego chłopca z błędu!

– Cieszyłbym się, gdyby mnie wszyscy traktowali jak chrześcijanina.

– Wyobraź sobie, jak taka ulotka będzie się sprzedawać.

* Kaszta – szuflada drukarska, wysuwana z regału, podzielona na przegródki z czcionkami.

Beszonised udawał, że nie słyszał jego uwagi, jak zwykle. Kontynuowali zatem swoją słowną grę.

– Nie jestem pewien, czy...

– Czyżby nie pachniały ci pieniądze? Nie wydaje mi się, przy twoich wydatkach. Masz piękny dom, służącą o niewyparzonej gębie...

– Z Marią jest ten kłopot, że...

– ...i ma to swoje zalety. Każdy widzi, że żyjesz jak prawdziwy chrześcijanin. Dlaczego właściwie się z nią nie ożenisz?

– Po co mi coś takiego? – zapytał Herman zbyt szorstko. Nagle zmartwiło go to, ponieważ dobrze wiedział, co zawdzięcza Beszonisedowi. Impresor przyjął go kiedyś jako nowo ochrzczonego Żyda, na którego inni patrzyli z góry. Herman w czasie ich pierwszej rozmowy z pewnym wahaniem potwierdził, że zna pismo chrześcijańskie. Dopiero niedawno nauczył się go z pomocą ojca Johanna.

– Pismo jak pismo – Beszonised przerwał jego wahania. Zachęcił Hermana, żeby stanął przy kaszcie. Herman spojrzął na tekst, który wisiał przypięty na tenaklu*. Sięgnął po litery, zaczął je wkładać do wierszownika, a potem całe wersy do drewnianej płyty drukarskiej! Gdy dokończył stronę i obwiązał skład sznurkami, żeby się nie rozsypał, Beszonised skinął na pomocnika.

Ten przejechał po składzie skórzanymi wałkami nanoszącymi farbę. Skład powędrował pod prasę. Beszonised popatrzył na wydrukowaną stronę z niedowierzaniem, sposepniał, zadrgały mu kąciki ust, ale w końcu się roześmiał. Pokazał Hermanowi stronę. Tekst był doskonale złożony, od początku do końca, z równomiernymi odstępami. Herman bezmyślnie rzucił okiem na stronę.

* Tenakiel – podstawka do umocowania stronik składanego ręcznie rękopisu na kaszcie drukarskiej.

– Następnym razem zmień kierunek – zarechotał Beszonised.

Herman złożył tekst od prawej do lewej, tak jak był do tego przyzwyczajony, gdy miał do czynienia z hebrajskim. Z łękiem spojrzął na impresora.

– Wszystko po prostu rób na opak! Poza tym składasz bardzo pięknie. Na jakich tekstach się czyłeś?

– U nas drukowano głównie książki religijne.

Beszonised zamyslił się: – Hm. I tak nie mieści mi się w głowie, jak może przetrwać drukarnia, która pracuje tylko dla gminy żydowskiej. Czy kryją się za tym jakieś wasze czary?

– Wszystko na opak – zastanawiał się teraz Herman. Gdyby naprawdę było to takie proste.

Wróciwszy z drukarni na obiad, uświadomił sobie, że w sieni jest niezwykle zimno. Maria wyszła z kuchni i cała się trzęsła. – Nie mogłam nic zrobić, mistrzu... – Uciekała wzrokiem, a jej usta się ściągnęły, jakby tłumiała płacz. Nagle nie była już tą służącą, która nigdy nie waha się z odpowiedzią.

– Zastukali do drzwi. Myślałam, że zapomniał pan klucza. Otworzyłam, przede mną stał Żyd i patrzył na mnie spod kapełusza nienawistnym wzrokiem. Za nim zajrzał do sieni następny mężczyzna, była ich tam cała grupa. Sami Żydzi. W tych swoich kołnierzach wyglądali jak komedianci. Musielibyście zobaczyć ich wyraz twarzy. Pytali mnie, czy nie ukryłam żydowskiego dziecka. Mówili, że ponoć porwanie jest czynem karalnym. Ja... ja nie umiałam skłamać... i tak by mi nie uwierzyli...

– A czy tym babom przy studni też zawsze mówisz prawdę? – zaczął krzyczeć Herman. – Gdzie jest Szymon?

– Wchodzili po schodach na górę, tupiąc jak żołdacy. Zamknęłam się w kuchni. Gdy schodzili, uchyliłam drzwi i zobaczyłam przez szparę, jak go ze sobą prowadzą. Miał na sobie to swoje stare żydowskie ubranie – czy mogłam zaprzeczyć, że do nich nie należy?

Wyobraził sobie wymówki ojca Johanna i plotki, jakie się nieuchronnie rozniosą: Oto Herman trzyma z Żydami.

Maria podniosła głowę, jakby czytała w jego myślach:

– Mistrzu, musicie pójść do starosty. To Żydzi go porwali. Do nas przyszedł przecież dobrowolnie!

– Był wśród nich na pewno ojciec Szymona. No więc jakie porwanie?

– A co będzie, jeśli nas oskarżą o porwanie?

Herman nie odpowiedział. Zawsze myślała w ten sposób, teraz jeszcze bardziej go to zaniepokoiło. Nakazał jej solidnie dołożyć do pieca, żeby się mogła się zagrzać. Maria otarła oczy fartuchem. Jej pochylona twarz wyglądała jeszcze subtelniej niż zwykle. Ze splotów uwolniły się pasma włosów, falując wokół głowy jak porozrywana aureola.

– Boję się, że spotka nas coś strasznego, mistrzu – szlochała. – Chociaż niczego nie zrobiliśmy. Powinniśmy się pomodlić.

– Módl się zwłaszcza za Szymona.

Na górze w pracowni leżały porozrzucone figurki. Garnek z pieniędzmi był na swoim miejscu. Maria zawołała go, żeby zjadł, ale oboje jedynie przesuwali kęsy po talerzu. W drodze powrotnej do drukarni Herman obserwował twarze przechodniów, jakby chciał z nich wyczytać, kto wie coś o Szymonie. Wtulali się w płaszcze i szaliki, odwzajemniając jego spojrzenia obojętnym wyrazem twarzy.

Z ulgą stanął przy stole drukarskim, sięgając do kaszty po czcionki. Gdy tylko zaczął wkładać je do wierszownika, poczuł, że wraca mu spokój. Były to tylko kawałki metalu, ale kiedy znalazły się obok siebie, zaczęły ze sobą współgrać. Dzięki wzajemnym relacjom nabierały znaczenia. Tym razem jednak melodia liter nie potrafiła go poruszyć. Jego skupienie zniknęło, oparł się o kasztę i obserwował pomocników. Wbiegali do drukarni

z zamówieniami, jednakowym ruchem rozcierali farbę po składzie i opierali się o dźwignię prasy. Wydrukowane arkusze rozwieszali na sznurach, żeby druk wysechł. Patrzył na ich rozczochrane, nieostrzyżone włosy.

– Nie słyszałeś w mieście czegoś interesującego? – wypytywał tych, którzy wrócili. Miał nadzieję, że zaprzeczą ruchem głowy. Łazarz na pewno dał Szymonowi po gębie i zamknął go w domu. Cóż więcej mogło się zdarzyć?

Herman nie powiedział Beszonisedowi, co stało się u niego w domu. Nie chciał słuchać biadolenia impresora nad zmarnowaną okazją. Na pewno należałoby na niego, żeby mu zdradził tajemnice żydowskiej drukarni. Miał nadzieję, że Szymon zdoła się wymknąć Łazarzowi. Tym razem zorganizuje wszystko inaczej. Nie będzie go nakłaniał, żeby przywdziewał żydowskie ubranie. A kiedy spotka na targu Leę, nie pozwoli jej odejść. Dlaczego nie miałyby opuścić Żydowskiego Miasta na stałe? A gdyby tak przeprowadziła się do niego? Może zdołałbym ją przekonać do konwersji – wyobrażał sobie. – Może udałoby się nam wspólnie wyjechać. Razem z Szymonem. Do innego miasta. A dziecko, którego oczekuje z Łazarzem? Uznałby je za swoje własne, dlaczego nie? Krótki pobyt Szymona udowodnił mu, że wszystko byłoby możliwe. Przypomniał sobie moment, gdy spacerował z chłopcem po targu i tamte jego uczucia natychmiast wróciły.

Fantazjował w czasie pracy i litery mieszały mu się pod rękami. Psuł dzieło, nie potrafił już usłyszeć muzyki tekstu, w składzie było tyle błędów, że musiał rozebrać całą płytę. Beszonised na szczęście poszedł na rozmowę z jakimś papiernikiem. Gdy tylko się ściemniło, Herman wymknął się przez drzwi drukarni.

Tym razem w sieni domu było przyjemnie ciepło. Maria stała przy kuchni i w milczeniu wskazała pracownię. Pobiegł na górę, nie chciał słyszeć żadnej innej wiadomości prócz tej, której

tęsknie wyczekiwał. Już na schodach dostrzegł światło przebija-
jące się przez drzwi i futrynę.

Na środku pokoju ojciec Johann siedział okrakiem na krześle. Nogami przesuwiał figurkę walającą się po podłodze. Jego uczeń, młody ksiądz Maciej, trzymał w potężnych dłoniach ubranie Szymona. Krzesło w porównaniu z ciałem Macieja wyglądało niepozornie. Miał posturę wieśniaka z jarmarku, na które Herman czasami jeździł z wozem pełnym książek. Ludzie obracali w dłoniach pieniądze i długo nie mogli się zdecydować. Być może zamierzali kupić pierwszą książkę w życiu. Na widok składu drukarni pewnie zabrakłoby im tchu. Książki ułożone piętrowo wznosiły się w niej niczym mury. Jeśli nie miały zbytu, stawały się martwym papierem, w którym topione były pieniądze Beszoniseda.

– Nie spełniłeś oczekiwań, jakie w tobie pokładaliśmy, mistrzu drukarzu – oznajmił łagodnie Johann.

– Może jeszcze wróci. Może został u kolegów? Albo biega gdzieś po zagrodzie? – spytał Maciej. Herman zastanawiał się, dlaczego Johann wybrał na swego pomocnika właśnie tego młodzieńca. W każdym zdaniu Macieja pobrzmiwało coś z prostej mowy wieśniaków.

– Powinieneś zadbać o to, żeby się nie zgubił. Maria podobno sama otworzyła im drzwi. Nie rozumiem, jak coś takiego mogło się zdarzyć?

– Mój dom nie jest więzieniem.

– Czy nie potrafiłeś sobie wyobrazić, co temu chłopcu grozi? Konwersja jest przecież podobna do drogi, na której pątnika czekają tysiące zasadzek.

– Wiem, ojcze.

– Skąd Żydzi mogli wiedzieć, gdzie szukać Szymona?

Lea – uświadomił sobie. Przecenił ją albo raczej jej nie zrozumiał. Znowu. Więc przyszła do niego tylko z powodu Łazarza.

– Dlaczego nie zamieszkał u was? – Herman próbował znaleźć jakieś wyjście.

– Nie był jeszcze chrześcijaninem, mistrzu. Chcieliśmy go przygotować do chrztu jak najprędzej. Jego codzienna wędrówka między kolegium a twoim domem miała stanowić przygotowanie do przejścia ze starego świata do nowego. Nigdy nie wiemy, jaka jest wola Boża, ale musimy próbować wyjść jej naprzeciw. Ty zawiodłeś.

– Szymon na pewno nie poszedł z nimi dobrowolnie – Maciej próbował uspokoić Johanna.

– Tego nie wiemy. Może zatęsknił za Żydowskim Miastem? A przede wszystkim, czy podobne uczucia nie obudziły się też w tobie? – Herman schylił głowę, żeby uniknąć uporczywego spojrzenia Johanna. Obaj mężczyźni zeszli po schodach i bez pozdrowienia zamknęli za sobą drzwi domu.

Maria w kuchni patrzyła przed siebie. Podeszła do Hermana, zawahała się, a potem z zapłakanymi oczami wtuliła się w jego objęcia. Objął ją niezgrabnie. Już nie potrafił bawić się w pana i służącą. Wiele razy chciał jej dotknąć, położyć rękę na jej ramieniu, przesunąć palcami po włosach, po twarzy. Za każdym razem ogarniał go lęk, że zagrozi to jego obrazowi chrześcijanina. I jeszcze to wspomnienie o Lei. Lub raczej dziwne poczucie, że ją zdradza. Poczucie, o którym wiedział, że jest bezsensowne.

Szymon Albrecht 4

Ladislav oparł się o bramę kościoła Tyńskiego, a ściślej o bramę kościoła Matki Bożej przed Tynem, jak już kilkakrotnie poprawiali go przedstawiciele Kościoła, gdy uzgadniał z nimi przebieg

prac. Taka była bowiem jego właściwa nazwa. Wznosiła się nad nim poczerniała fasada niczym ściana skalna, przed którą człowiek zastanawia się, czy na niego nie runie. Przypominała skamieniały wodospad, który w każdej chwili mógłby zacząć wypływać wodę. Wystarczyło spojrzeć w górę, żeby zakręciło się w głowie, nagle czuł się niepewnie, nie wiedząc, gdzie góra, a gdzie dół; jakby wodospad mógł zacząć spadać w górę. Brama nie drgnęła; wisiała na niej kartka z napisem wydrukowanym wielką czcionką na komputerze. Informowała, że z powodu prac archeologicznych kościół przez tydzień będzie zamknięty dla zwiedzających. WE ARE SORRY TO INFORM YOU... przekazywał tę samą wiadomość w bardziej uprzejmym tonie napis po angielsku.

Ladislav zastukał w bramę. Odwrócił się, rzucając okiem na mały plac przed fasadą; kościół bowiem przez stulecia oddzieliły od Rynku Staromiejskiego domy. Na ich frontonach ujrzał resztki sgraffitowych ozdób, które tworzyły specyficzny nastrój, jakby miał się tu znajdować zwyczajny dziedziniec łączący mieszczańskie przybytki. Naprzeciwko nich sterczała jednak kamienna masa. Kościół wznosił się niczym coś zaskakującego, nieoczywistego, nieustannie zadziwiającego. Ladislav zastanawiał się, czy zna jakiś średniowieczny kościół o podobnym usytuowaniu – nie mógł sobie jednak przypomnieć. Zastukał ponownie. Już sięgał po komórkę, żeby znaleźć numer Tomasza, kiedy usłyszał dźwięk otwieranego zamka. Za bramą pojawił się młody mężczyzna o grzecznym uśmiechu, który natychmiast ustąpił Ladislavowi z drogi, jakby go znał.

Antropolog między bramą a wewnętrznymi drzwiami wchłonął zapach kościelnego powietrza i ogarnęło go poczucie bezpieczeństwa. Przy ołtarzu dostrzegł grupę mężczyzn w czerwono-czarnych kombinezonach; należeli do firmy prowadzącej, za pomocą specjalistycznych urządzeń, badania w podziemiach. Obok nich stali

kamieniarze w roboczych kurtkach. Błyszczały tam także sportowe bluzy studentów, a między nimi migąły ciemne kurtki uczonych badaczy. Po drodze minął przygotowane narzędzia, złożone konstrukcje, czarne skrzynie o krawędziach wzmocnionych metalowymi listwami, srebrzyste walizeczki, kable na bębnach, poskręcane łańcuchy i zwinięte liny.

Rozejrzał się po kościele, który pamiętał z poprzednich wizyt jako wysoką i czystą przestrzeń. Zdziwiło go, że jest tak bardzo wypełniony. Mniejsze ołtarze przy filarach wbijały się w przestrzeń wypełnioną przez ławy i inne sprzęty. Sprawiało to wrażenie, jakby do jakiegoś mieszkania przeniesiono zbyt wiele mebli z poprzednich miejsc pobytu. Przedmioty z różnych okresów gryzły się ze sobą i nie pozwalały na odnalezienie ładu. Ladislava zaskoczyło owo niewypowiedziane napięcie – jakaś niechęć do pogodzenia się z aktualnym stanem rzeczy.

– Cieszę się, że w końcu mógł pan przyjść, panie doktorze – usłyszał zdecydowany głos, w którego tonie pobrzmiwało doświadczenie, jakie dają publiczne wystąpienia. Sprawiał wrażenie energicznego człowieka, miał przenikliwe oczy i białą bródkę, która kontrastowała z oliwkowym odcieniem cery. Wszyscy znali go z jego artykułów i występów w telewizji. Miał na sobie wełniany profesorski płaszcz, niedbale rozpięty. Rozwichrzona biała włosy nadawały mu pozór roztargnienia, zdecydowane spojrzenie przywracało jednak prawdziwą miarę. Ladislav uświadomił sobie, że na ekranie mężczyzna wydaje się znacznie wyższy.

– Jestem w trudnej sytuacji, panie doktorze... ojciec – Ladislav zawahał się, jak tytułować Pawła Bruśaka, profesora wydziału teologicznego, który miał jednocześnie święcenia kapłańskie. Swoje zdanie chciał opatrzyć słowem *niestety*, ale w ostatniej chwili z niego zrezygnował. Charyzma Bruśaka jak zwykle trochę go

onieśmieliła. Nagle nie był pewny, czy słowo „ojcze” nie zabrzmiało niegrzecznie.

– Wiem. Będę się modlił, żeby pański syn szybko się odnalazł. Doceniam to, że stara się pan sprostać wymogom naszego projektu. W końcu sam pan wie, jak długo go przygotowaliśmy. Przyszedłem życzyć panu wielu sukcesów. Kościół ma nadzieję, że zdoła pan rzucić nowe światło na ten tajemniczy przypadek.

– Proces przeciwko rodzinie Abelesa był sądową pomyłką, prawda? – nadmienił Tomasz, student archeologii i asystent Ladislava. Widać nie należał do studentów, którzy chodzili na popularne kazania Bruśka. Nigdy nie krył się z tym, że chce jak najprędzej ukończyć studia i zacząć piąć się po szczeblach kariery naukowej. Już teraz nosił na szyi elegancki szal, związany w fantazyjny węzeł. Ladislav tolerował zapał Tomasza. Starannie przygotowywane tezy odpowiadały mu i w zasadzie doceniał fakt, że student, wyręczając go, potrafi stawiać nieprzyjemne pytania.

– Zdaniem Kischa... – kontynuował Tomasz, nie doczekawszy się odpowiedzi ze strony Bruśka.

– Nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków, młodzieńcze – przerwał mu ksiądz. – Myślę, że jesteśmy to winni temu zmarłemu chłopcu. Jakiś elementarny szacunek musimy zachować.

Kamieniarze obserwowali ich w milczeniu.

Ladislav szukał w pamięci informacji, które w normalnej sytuacji powinien już dawno przestudiować. Będą szukać grobu żydowskiego chłopca Szymona Abelesa. Chciał zostać chrześcijaninem i nagle zmarł. Po konwersji, czy jeszcze przed? Ladislav nie był tego pewien, przypominał sobie tylko, że potem nastąpił proces sądowy, który przez całe stulecia, z powodu niejasności, fałszywych świadectw i wymuszonych zeznań, uważany był za nieuczciwy. Tomasz jak zwykle w swej argumentacji wykazywał skłonność do radykalnych opinii.

– Czy ojciec obawia się tego, co możemy odkryć tam, na dole? – spytał cicho Ladislav.

– A jeśli okaże się, że Abeles umarł naturalną śmiercią? – odezwał się Tomasz. – I kto był najbardziej zainteresowany tym, żeby twierdzić, że go zamordowano? – Ladislav pomyślał, jak bardzo różni się od Tomasza; wcale nie po raz pierwszy. Oczywiście, Tomasz mógł swobodnie studiować, ale zasadnicza różnica tkwiła w zaangażowaniu, z jakim bronił swoich poglądów. Ladislav, chcąc nie chcąc, musiał go podziwiać, aczkolwiek miał poczucie, że chłopak robi to ze względu na własne *ego*. Zauważył, że kamieniarze zastanawiają się, czy nie wyjść na papierosa.

– Kościół w dzisiejszych czasach przegrywa, młodzieńcze – odpowiedział ksiądz. – Wierzących ubywa. Prace badawcze w kościele potrafią rozbudzić zainteresowanie, przyjdą popatrzeć nawet ci, którzy w innym przypadku nigdy by tutaj nie zajrzeli. A kto wie, duch miejsca może na nich podziałać. Wyroki boskie bywają czasem niezbadane, ale mimo to musimy starać się wyjść im naprzeciw. Proszę jednak nie myśleć, że pozostawię pańskie pytanie bez odpowiedzi... Jeśli się okaże, że Szymon Abeles został zamordowany, potwierdzimy dawny werdykt naszych poprzedników. Jeśli odkryjemy, że wszystko odbyło się inaczej, pokażemy, że potrafimy przyznać się do własnych błędów. W obu przypadkach zachowamy się tak, jak oczekuje tego od nas dzisiejszy człowiek. Jednak w przypadku Szymona Abelesa chodzi o coś więcej. O znacznie więcej.

Teraz nawet mężczyźni z firmy zajmującej się badaniami podziemi zamienili się w słuch.

– Nie będziemy starali się szukać jedynie szczątków, ale też zrozumieć historię człowieka, który znalazł się na granicy dwóch religii. Nie chcę spekulować na temat powodów jego decyzji, chociaż tę granicę przekroczył. A razem z nią i swoje własne ograniczenia. Zmienił swoją osobowość, stał się kimś innym.

Odcięcie się od pokoleń swoich przodków nie było dla niego sprawą łatwą...

Ksiądz zamilkł. To nie zdarzało mu się na ambonie ani w studiu telewizyjnym. – Przepraszam, nie chcę pana zanudzać swoimi spekulacjami. Chętnie pobłogosławię pańskiej pracy...

Uczył powolny znak krzyża, którym objął Ladislava, kamieniarzy i cały kościół.

– Kurię arcybiskupią reprezentować będzie tutejszy kościelny, pan Jakoubek.

Od grupy kamieniarzy odłączył się młody mężczyzna około trzydziestki, który otwierał Ladislavowi bramę. Zrównoważony, godny zaufania wyraz twarzy sprawiał, że wyglądał na starszego, niż był. Kiedy Ladislav usłyszał po raz pierwszy o Jakoubku, wyobraził go sobie jako... najchętniej jako jednego ze staruszków w wiejskim kościółku, gdzie od czasu do czasu prowadził swoje badania. Dziadkowie ci przechowywali w domu klucze od drzwi kościoła i opiekowali się tabernakulum chyba już od kilku pokoleń. Kościelny Jakoubek tymczasem mógłby z powodzeniem sprzedawać samochody, i też byłby godny zaufania. Ladislav nagle uświadomił sobie, że jego bluza nie jest elegancka, wręcz sportowa, ale w rzeczywistości była dobrej marki, fason taki można ubrać, jeśli chcemy spędzić wolny czas w mieście. Z pulovera pod nią wystawał wygładzony kołnierzyk koszuli.

– A panu, panie doktorze – Bruśák zwrócił się do Ladislava – życzę, żeby pański osobisty problem jak najszybciej się rozwiązał. Rodzina jest centralnym punktem ludzkiego życia, a jednocześnie miejscem najbardziej narażonym na zranienie. Gdyby potrzebował pan duchowego wsparcia, proszę się do mnie odezwać.

Teraz już przybrał ton swoich telewizyjnych wystąpień. Ksiądz stał się naturalnie swobodny, co Ladislav od razu sobie

uświadomił. Być może dlatego zadał mu mimo wszystko pytanie, które chodziło mu po głowie.

– Czy Szymon Abeles konwertował, ojcze?

– Oczywiście, że nie – odezwał się prędko Tomasz.

– Tak. To znaczy – sprawa jest bardziej skomplikowana – odpowiedział Bruśák. I natychmiast ukłonił się w milczeniu.

Kamieniarze patrzyli przez chwilę, jak idzie środkiem nawy, potem zwrócili się w stronę Ladislava. Skinął głową, żeby poszli sobie zapalić, a sam zapytał Tomasza, który stał w pobliżu zgromadzonych narzędzi: – Co to jest Battle Church?

Tomasz poniósł oczy ze zdumienia: – Od kiedy zajmujesz się grami?

– Od czasu zniknięcia syna. On grał właśnie w tę grę.

– No tak, to znaczy, że jest fanem! No jeśli on jedzie w Battle Church... Wiesz, ta gra ma bardzo dziwną opinię. Mówi się o niej, że gdyby tylko połowa z tego była prawdą...

– Gdzie mogę się czegoś o niej dowiedzieć?

– Wśród moich przyjaciół nikt już nie odpala. Potrzebujesz kogoś młodszego, bo ci fani to hermetyczne towarzystwo. Najlepiej byłby jakiś haker.

– Dlaczego?

– Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, musisz wejść w system.

Ladislav wiedział, że Tomasz zna jego stosunek do technologii informatycznych. Kiedy kupował Szymonowi nową komórkę, musiał się poradzić Tomasza. Teraz nawet nie był pewien, czy jego asystent zaferuje mu pomoc, a tym bardziej czy on sam potrafiłby się zdobyć na to, żeby ją przyjąć. Nie chciał mieć wobec niego zobowiązań.

Teraz z ust obu mężczyzn wydostawały się obłoczki pary, które gubiły się w półmroku nad ich głowami. Tomasz zamilkł, jakby szukał czegoś w pamięci. Ladislav utkwiał wzrok w kamiennej

podłozie. Wkrótce wyciągnięte zostaną z niej płyty, wybierze się piasek, a o sklepienie krypty oprze się ostrze wiertarki. Przedostanie się do wnętrza wydało mu się dziwnie pociągające, najchętniej sam wziąłby teraz wiertarkę, żeby poczuć ten moment, kiedy wjedzie w wolną przestrzeń na dole. W porównaniu z problemem, jak przeniknąć do gry komputerowej, ta czynność wydawała mu się w pod każdym względem łatwiejsza.

Ladislav ruszył w kierunku pracowników firmy. Stali wyluzowani z robotnikami przed bramą kościoła, jakby nawet przez chwilę nie mieli wątpliwości, że wszystkie problemy w czasie prac badawczych da się rozwiązać. Kamieniarze gasili papierosy w szczelinach na płycie podmurówki, aż te poczerniały.

Poprowadził ich wzdłuż nawy w stronę barierki przed ołtarzem, minęli drzwi w bocznej nawie, skręcili i przeszli obok ołtarza w lewo, do kaplicy Świętego Krzyża. Jej podłoga była położona o stopień wyżej od świątynnej. Stanęli na szachownicy z ciemnoczerwonych i białych jak kość słoniowa płytek. Na tle ciemnoczerwonej barwy tu i ówdzie błysnęły plamki białych żył.

Kamieniarze obserwowali go, pytającym spojrzeniem obdarzył go także Tomasz. Wiedział, o co chcą go zapytać. W podłozie nie było żadnego widocznego wejścia do krypty. Ladislav wskazał na prawą boczną ścianę, gdzie znajdowała się wnęka z krzesłem, zwanym *sedile*. Niczym kurtyna wznosiły się nad nim gustowne ornamenty parlérowskiego gotyku*. Opierały się na filarach, na których osadzono po mistrzowsku wykonane głowy króla i kró-

* Petr (Piotr) Parlér (ur. w 1330 lub 1333 w Kolonii – zm. w 1399 w Pradze), wybitny architekt, murator i rzeźbiarz epoki gotyku; kierował między innymi pracami przy budowie wieży Staromiejskiej na Moście Karola oraz samego mostu. Wybudował też wieżę katedry św. Wita w Pradze i tamtejszą kaplicę św. Wacława, zamek w Karlštejnie oraz wiele innych słynnych gmachów czeskiej architektury średniowiecznej.

lowej, pozostałe figurki umieszczone były zarówno pod filarem, jak i między ornamentami.

W przestrzeni między krzesłem a zwiewną kamienną kurtyną wznosiło się epitafium Szymona Abelesa. Zrobione było z czerwonego marmuru i miało kształt wydłużonego prostokąta, opartego na krótszej krawędzi; u góry falowało niczym zwieńczenia wiejskich rezydencji. Linia ta przypominała złożone skrzydła lub wierzchołek serca. Trochę niezgrabne barokowe kabłączki kontrastowały z wyczelowanym gotykiem nad nimi. Na płycie wyryty był łaciński napis.

– Powie nam pan, co tam jest napisane, panie doktorze? – zapytał szef pracowników wysłanych przez firmę.

– „Szymon Abeles, dwunastoletni żydowski chłopiec, szukając Boga, schronił się w kolegium klementyńskim Towarzystwa Jezusowego, aby dać się ochrzcić, we wrześniu roku 1693” – rozległ się rzeczowy głos. Wypowiadał te słowa bez patosu, ale i tak dał się trochę ponieść ich rytmem. Ujrzeni kościelnego Jakoubka. – „Po kilku dniach został z klasztoru wywabiony, pochlebstwami, głodem, strachem, biciem i wstrętnym uwięzieniem w domu doświadczany, co wszystko z powodzeniem przetrwał, ale z rąk ojca i przyjaciela jego zginął 21 lutego 1694. Ciało jego potajemnie pogrzebane, szóstego dnia wykopane, urzędowo obejrzane, aż do zapieczętowania trumny pozostawało bez jakiegokolwiek zapachu, było naturalnego koloru, miękkie i sprężyste i ciekła z niego różowa krew. Ze Staromiejskiego Ratusza w czasie wielkiej procesji żałobnej i przy niezwykłym udziale pobożnego ludu zostało wyniesione i tutaj złożone 31 marca 1694”.

– Pięknie pan tłumaczy – zauważył Tomasz lekko pytającym tonem.

– Tekst pochodzi z książki Kessnera o Tynie – uśmiechnął się Jakoubek. – Tak to z naszym kościołem właśnie jest. Musi pan

sobie uświadomić, że cokolwiek przyjdzie panu do głowy, to i tak prawdopodobnie ktoś przed panem już do tego doszedł. I wcale nie jesteście panowie pierwszymi zwiedzającymi, którzy chcieliby wiedzieć, co na tym epitafium jest napisane... Nawiasem mówiąc, na tym miejscu był początkowo wizerunek Szymona Abelesa, który możecie zobaczyć w zakrystii – poinformował ich. – Wisiał tu do czasu, aż przygotowano epitafium.

– To znaczy, że będziemy wyburzać ścianę? – zapytał szef kamieniarzy.

– Grób powinien być gdzieś w podłodze – odpowiedział Ladislav.

– Przeprowadziliśmy już pomiary termometryczne, w lecie i znowu teraz, w zimie – wyjaśnił mężczyzna z firmy. – Proszę spojrzeć... – Klęcząc, otworzył laptop. Klikał tak długo, aż na ekranie zaczęły się przelewać kolorowe płaszczyzny przypominające mapę meteorologiczną. – Krypta powinna być tutaj – nacisnął palcem miejsce, z którego wylaniała się nieregularna czerwona plama.

– Z czego pan to wywnioskował? – zapytał szef kamieniarzy.

– Zmierzyliśmy temperaturę podłogi. W zamkniętych pomieszczeniach na dole jest stale pięć lub dziesięć stopni powyżej zera. Także zimą. Jeśli porównamy te dane z temperaturami z lata, otrzymamy wynik. Oczywiście, potrzebne jest pewne doświadczenie przy dokonywaniu oceny.

– Dokładnego miejsca wejścia do krypty jednak nie znamy, prawda? – pytał dalej kamieniarz.

– Nie – odpowiedział Ladislav i spojrzał na Jakoubka. – Zauważymy sondę. Wydaje się, że krypta znajduje się bezpośrednio pod ołtarzem.

– Interesujące. Ja bym się raczej założył, że będzie gdzieś na jego skraju – wtrącił Jakoubek.

– A jakieś zapiski...? – spytał kamieniarz.

– Wszystko już przestudiowaliśmy – odpowiedział Ladislav. – Nic się niestety nie dochowało. – Tomasz, który miał za zadanie zbadać dokumenty kościoła, przytaknął. Ladislav przesunął się o krok. Nagle odniósł wrażenie, jakby podłoga ugięła mu się pod nogami. Uświadomił sobie, że w czasie ich krótkiej rozmowy w kaplicy wytworzyło się napięcie. Wszyscy oglądali szczegółły wystroju i szukali jakiegoś znaku. Szpicem buta wypróbował podłogę. Wydawało mu się, że nieco się poluzowała. Zrobił drugą próbę i uspokoił się. To tylko uwolniona płytką posadzkowa, która pod nim podskoczyła.

Ladislav zazwyczaj pomagał kamieniarzom i ludziom z firmy wnosić wyposażenie, aby pokazać im, że tworzą jeden zespół. Teraz jednak potrzebował wykorzystać wolny czas do tego, żeby zaglądnąć do domu. Poprosił Tomasza, żeby dopilnował przygotowań, i zobaczył, że w jego oczach pojawiły się oznaki współczucia.

Mieszkanie znów było zamknięte na górny zamek, z którym Szymon nigdy się nie trudził. Ladislav usiadł za stołem i otworzył laptop, żeby obejrzeć maile. Nic. Przez chwilę bawił się komórką, obserwując ekran z nadzieją, że się rozjaśni. Zastanawiał się, czy nie powinien znowu zadzwonić do Mary. Starał się odsunąć od siebie ten moment i wołał zanurzyć się we wspomnienia.

Poznali się w czasie wycieczki dla świeżo upieczonych studentów historii, gdy towarzyszył im jako asystent katedry antropologii. Zauważył ją już w autobusie, w chwili gdy dotarła do niej butelka wina. Prędko podniosła ją do ust i tyknęła łąpczywie. Strumień wina chyba trochę ją zaskoczył; gwałtownie przechyliła się do przodu. Widząc, że ją obserwuje, uśmiechnęła się do niego, trochę z humorem, a trochę z zakłopotaniem. Potem podeszła, podsuwając mu butelkę wina. Napił się i zastanawiał, czy w tym smaku może rozeznaczyć coś z jej ust. Miał napad kaszlu. Uderzyła

go w plecy. I dopiero wtedy się przedstawiła. Jeszcze teraz miał ją przed oczami, jak stoi nad nim, kołysząc się w jadącym autobusie, a jednocześnie obserwuje go z lekkim uśmiechem.

Z przejściem słuchała profesora w staromodnych skórzanych traperkach, który następnego dnia oprowadzał ją między wykopami. Z podziwem obserwowała także Ladislava, kiedy w szopie pochylił się nad stołem ze znalezionymi szkieletami. Przcisnęła się do niego, chwytając kawałek szerniałej kości goleniowej.

– Jeszcze coś złapiesz – ostrzegła ją inna studentka. Mary obejrzała starannie kość, a nawet podniosła ją w stronę wpadającego przez drzwi światła, jakby chcąc się upewnić, czy zachowuje równą oś. – No więc jak, czy to był mężczyzna, czy kobieta? – spytała Ladislava. Jej bezpośredniość połączona z tupetem rozbawiła go i oczarowała; zaczął jej wyjaśniać różnice morfologiczne. W czasie badania znaleziska szli już obok siebie.

Tak bardzo zajęci byli rozmową, że Mary przeoczyła brzeg wykopu. Zatrzymała się na dole, obok odkrytego właśnie szkieletu. – Pani koleżanko! Przede wszystkim niech pani nie uszkodzi nam znaleziska! – wołał z przerażeniem profesor otoczony roześmianymi studentami. Ladislav, zafascynowany, obserwował tę piękną dziewczynę w bawełnianej koszulce, z włosami przypominającymi rozdmuchane płomienie, jak leży obok czaszki. Studenci roześmiali się jeszcze głośniejsze, kiedy odwróciła głowę i zamarkowała pocałunek. Dał się słyszeć trzask aparatów fotograficznych, profesor ostrożnie nadepnął na brzeg wykopu, żeby upewnić się, czy jest dość mocny. Kilku studentów pochyliło się, żeby jej podać rękę, ale ona wybrała Ladislava.

– A co by było, gdybyśmy tak przeszli na ty? – spytała go na górze.

Wieczorem poszli do gospody.

– No to za tych naszych nieboszczyków! – zaproponowała Mary. – Na przykład...

– Fernet – lakier na trumnę? – zaproponował profesor, uśmiechając się chytrze.

– Bloody Mary!*

– Z krwawą materią na ogół nie mamy do czynienia! – zwrócił jej uwagę Ladislav. Roześmiała się, jakby powiedział dowcip. Nowe przezwisko natychmiast się przyjęło, tym bardziej, gdy karczmarz wzruszył ramionami, że nie mają soku pomidorowego. *Zawsze chciała czegoś więcej niż to, co było w zasięgu* – pomyślał sobie teraz. Bez cienia wymówki, raczej poczuł wyrzuty sumienia, jakby to był jego błąd, że tego – tego czegoś – nie potrafił jej dać.

Profesor zamówił sobie becherówkę, którą sączył małymi łykami. Mary zamówiła piwo jak wszyscy pozostali. Ladislav chętnie zamówiłby gorącą czekoladę, która w tamtym czasie zaczęła się pojawiać w menu kawiarni. Tutaj nie było chyba sensu o nią pytać. Zamówił więc piwo. Ladislav nie zorientował się po Mary, ile piw wypiła, dopóki nie wylała ostatniego. Chusteczką ścierała mu piwo ze spodni. Gdy wyszła na zewnątrz, ugięły się jej kolana.

– A u mnie... u mnie byś rozpoznał? – wymamrotała, kiedy ułożył ją w śpiworze.

– Co, do licha?

– No, czy jestem kobietą, czy mężczyzną...

Usiadł wtedy przed jej namiotem i zastanawiał się, czy mówiła poważnie. Nie odważył się ponownie rozpiąć suwaka tropiku. Ile by teraz za to dał! Za tamtą niepewność i niechciany komizm, jakie towarzyszyły początkom ich znajomości. Potrafiliby wtedy żartować także w rozmowach, które dotyczyły spraw poważnych. Gdzie się to podziało? Kiedy Mary zaczęła w nim widzieć odebranego od życia intelektualistę i nic poza tym?

* Krwawa Mary – koktajl z sokiem pomidorowym.

Później przyznała mu się, że zamówiła Bloody Mary, żeby się przekonać, jak zareaguje. Już nie pamiętał, jak się wówczas zachował. Ale chyba się sprawdził.

Szymon Abeles 4

Herman wciąż chodził na jarmark na Rynku Staromiejskim z nadzieją, że dowie się czegoś nowego. Dochodziły do niego urywki rozmów, lecz stale słyszał to samo. *Seler, pół funta, pięć groszy, za drogo*. W zgniłym lutowym powietrzu przedpołudnia usłyszał wreszcie inne słowo. *Martwy*. Mogło chodzić o zamożnego mieszczanina, który po długim życiu na łonie wspólnoty, życiu pełnym zbożnych czynów i udanych interesów, przeszedł do wieczności. Wtedy jednak w ich słowach nie byłoby tonu przerażenia, w którym pobrzmiwała nuta radości z powodu szokującej informacji. Zatrzymał się koło straganu i odruchowo dotykał ułożonych na nim warzyw. Potem usłyszał *ten chłopiec*, z akcentem na słowie *ten*. Raz po raz słyszał te dwa słowa.

W mieście nie było chyba innego chłopca, o którym można było mówić w taki właśnie sposób. Przypadek Szymona roztrząsano przy studniach, na targu, w gospodach. Kiedy dorosły Żyd decydował się przejść na chrześcijaństwo, wywoływał poruszenie, a tym bardziej dziecko. *Ten chłopiec*.

Herman wbił wzrok w babę stojącą za beczką z solonymi rybami. Pochylała się nad naczyniem, aż wpadł jej do niego fartuch. Zalewa zaczęła wsiąkać w materiał.

– Biedny chłopiec. Przecież to było jeszcze pacholę, a już jest w ziemi. Czemu spotkał go taki szybki koniec?

Różanolica matrona z koszykiem opartym o wystający bok przytakiwała, cała uradowana, że włączy się do rozmowy. Zalewa piętą się po fartuchu. – Czy to może być przypadek! – wykrztusiła, wybałuszwszy oczy. – Jak pani myśli?

– No, czy mu tam jakoś nie pomogli! – odezwała się z naciśniętym głosem kobieta trzymająca koszyk. – Temu biednemu Żydziatku! – Uwaga na fartuch, proszę pani!

Babsztyl wyjął nasiąknięty materiał z beczki i podejrzliwie się rozejrzał, jakby szukając winnego.

Herman już nie mógł udawać, że stoi obok beczki przypadkiem. Poprosił o kilka sztuk. Handlarka zapakowała mu ryby do starej ulotki. Ze zwitki, którą trzymała w ręce, wziął sobie jedną kartkę.

Przerazająca wiadomość o straszliwej komecie,
która w najbliższym czasie rozbije Ziemię w proch,
jak przepowiedzieli sławni fizycy, astronomowie
i alchemicy
z Niemiec, Francji i Hiszpanii,
o drżymy, ponieważ koniec świata nadchodzi,
za nasze grzechy; ta straszna gwiazda,
wysokie powietrze, ześle na ziemię ogniste spopy,
a wtedy...

Herman mimowolnie ocenił, jaką pracę wykonała drukarnia. Uczonych oczywiście nie wymienili po nazwisku, na pewno ogromnie im odpowiadało to, że pochodzą z zagranicy. Nie szczędzili za to przymiotników, których w tego typu ulotce nie mogło zabraknąć – w opisie strasznej przyszłości świata fantazja autora mogła się w pełni rozwinąć i zapełnić stronę z zapotrzebowaniem.

– Co się właściwie zdarzyło? – spytał Herman. Kobiety rzuciły na niego badawcze spojrzenia. Jak zwykle miał wrażenie, że przypatrują się jego ubraniu i uczesaniu, że badają jego rysy. Wiedział, że musi się zachowywać, jakby nigdy nic.

– Cóż to, nie słyszeliście o Szymonie, który chciał zostać chrześcijaninem? – spytała handlarka. – Żydzi musieli być na niego wściekli, głowę za to dam.

– Pewnie go otruli – dramatycznie zawołała matrona.

– Łotry. Zamordowali go jak Chrysta Pana.

Nie, to nie mogła być prawda. To było zbyt podobne do zdarzenia z ulotki. Bóg wie, kto wymyślił taki nonsens – Herman przekonywał sam siebie.

– Kto inny byłby zdolny do takiej potworności, panowie? Myślicie, że ktoś z tych ludzi tu naokoło zdobyłby się na coś takiego? Spójrzcie tylko – sami uczciwi kupcy i porządni klienci, podczas gdy tam, w Żydowskim Mieście, tam żyje diabelska hołota... – babsztył wskazał ręką gdzieś za siebie, jakby bał się obejrzeć, i splunął.

Herman przypomniał sobie relację z włoskiej Bolonii, którą drukarnia Beszoniseda wydała niedawno jako ulotkę. Opowiadała o ślicznej handlarce, której to, że była bogobojną chrześcijanką, w żaden sposób nie przeszkadzało w truciu jednego męża za drugim. Gdyby teraz wspomniał o tamtej ulotce, w niczym by to jednak nie pomogło, zagroziłoby tylko jemu samemu.

Wrócił do domu i wetknął do ręki Marii zawiniątko.

– Przecież nie jadacie solonych ryb, mistrzu – westchnęła bezradnie.

Wzruszył ramionami. Solone ryby uważano za żydowską potrawę. Unikał ich, z zapalem też pracował w żydowskie święta.

– Dowiedzieliście się czegoś o Szymonie?

Wbiła w niego wzrok, ale Herman nie odpowiedział. Wtem zadzwonił do drzwi goniec, którego posłał ojciec Johann. Mistrz Herman ma ponoć przyjść do Klementinum. Był to zwyczajny chrześcijański chłopiec, w niczym nie przypominał Szymona, ale drukarz i tak był zbity z tropu. Chłopiec dreptał przed nim, a Maria patrzyła raz na jednego, raz na drugiego. Kiedy cisza zaczęła być zbyt uciążliwa, Herman wykrztusił, że zaraz przyjdzie. Mimo iż chłopiec podkreślił, że spotkanie jest pilne, drukarz szedł ulicami z pewnym wahaniem. Popołudniowe słońce skryło się za dachami, cienie kresliły na twarzach przechodniów dziwne, trupie kolory.

– Naszego podopiecznego najpewniej nie ma już na tym świecie – oznajmił mu Johann, dostojnie wyprostowany w swoim fotelu. Maciej nerwowo zacisnął swoje grube palce na taborecie.

– Skąd ojciec o tym wie?

– My też dowiedzieliśmy się o tym, o czym mówi się na ulicach. W przeciwieństwie do ciebie mamy jednak od tego swoich ludzi – uśmiechnął się Johann, jakby ktoś powiedział coś dowcipnego. – I nie musimy straszyć niewinnych kobiet na jarmarku... W jakim czasie Żydzi urządzają pogrzeb?

– Do zachodu słońca następnego dnia.

– Jeśli zakopali go zaraz rano, po tym jak zmarł, to znak, że ogromnie się spieszyli?

– Kogo? – spytał Herman. Być może zaszło nieporozumienie. Może Johann go tylko sprawdza, jak daleko postąpił na drodze między starym a nowym światem.

– Pewnie nawet nie urządzili ceremonii pogrzebowych, prawda? – nalegał Johann.

– O to musiałby ojciec spytać ludzi z chewra kadisza – odparł Herman. – Z bractwa pogrzebowego – dodał, widząc pytające spojrzenie księdza.

– Spieszyli się, ponieważ go zamordowali – zawyrokował Maciej. – Przecież to jasne. Ojciec swoim autorytetem powinien morderstwo na Szymonie publicznie potępić!

– Właśnie, że nie. Nasz zakon musi zachować dystans. W interesie tych, którzy żyją w błędzie. Nie możemy ich spłoszyć nadmierną gorliwością. Najlepiej by było, gdyby...

Herman usiadł. Nie rozumiał, po co go tutaj wezwali.

– ...gdyby urzędowi przekazał to ktoś z nich. Żydzi kochają swoje dzieci, prawda?

– Jak wszyscy rodzice – przytaknął Herman, niczego nie rozumiejąc.

– Jest tu pewna różnica. Miłość rodzicielska jest jedną z wyraźnych cech żydowskich, podobnie jak uporczywe tkwienie w błędach, o czym wszyscy wiedzą. Nagła śmierć Szymona mogła kogoś z nich na tyle wystraszyć, że poruszyło się w nim sumienie.

– Skąd weźmiemy takiego Żyda? Potrząśniemy na niego mieszkaniem? Tylko że jeśli któremuś z nich się powiedzie, prędzej czy później zaczną gadać i... – mędrkował Maciej. Johann pozwolił mu mówić dalej. Patrzył na Hermana.

– Jednego Żyda tu przecież mamy. Żydem już oczywiście nie jest, ale napisać wiarygodne oświadczenie chyba by mógł, prawda?

– Ja żadnego świstka wypełniać nie będę – wykrztusił Herman. – Jestem drukarzem, a nie fałszerzem.

Maciej spojrzał na księdza.

– Oczywiście, nie możemy mistrza zmuszać do niczego, na co nie ma ochoty – wyrzekł powoli Johann. Przez pokój niósł się dziwny słodki zapach, który przypominał Hermanowi chwile, gdy spotykali się z Johannem na nauce religii. Dokładnie tak się zachowywał również wtedy. Nie nalegał i nie karał – wymówki, wygłaszane tym samym spokojnym tonem, były jednak jeszcze bardziej bolesne niż rany.

– Czy wiadomo na pewno, że Szymon nie żyje? – spytał Herman.

– O jego śmierci mówi się wszędzie, na targu i przy studni, a wieloletnie doświadczenie uczy mnie, że jeśli ludzie o czymś rozmawiają, to znaczy, że jest to prawda. Albo przeciwnie: prawda jest tym, z czym się wszyscy zgadzają.

– Żadnego listu pisać nie zamierzam.

– Nie trzeba. Szymon został pochowany zadziwiająco prędko; już tym nam pomogłeś. Pismo napisze Maciej.

– Ale ja nie powiedziałem... Bractwo pogrzebowe na pewno by... – próbował zaprotestować Herman, ale przerwał mu Maciej: – Ojcze, nie wiem, czy czemuś takiemu podołam.

– Nie bój się, Macieju. Potrzebujemy właśnie twoich błędów. Doskonałe pismo mogłoby wzbudzić podejrzenia.

– Abelesowie mieszkają kilkadziesiąt metrów od cmentarza. Być może dlatego pogrzeb odbył się tak szybko – wywnioskował Herman.

– Nie próbuj ich bronić, bo inaczej będę musiał zastanowić się nad twoim zachowaniem – Johann nie dawał się wyprowadzić z równowagi.

– Po co to wszystko robicie, ojcze? – spytał go Herman.

– Czy naprawdę mnie nie rozumiesz, synu? Przez całe życie szukam Bożych zamiarów, tropię je jak wyżeł. Nie unikałem cierpienia, gdy włóczyłem się przez dżunglę i byłem wśród Indian, ponieważ On był tam widoczny. Jaśniał jak kwiaty rosnące w koronach drzew albo jak pióra rozkrzyczanych ptaków, które latają wśród gałęzi. Mają ledwie widoczne skrzydełka, którymi muszą machać jak ważki, a jednak utrzymują się w powietrzu. Tutaj Boży zamiar jest znacznie bardziej mglisty. Tym cenniejszy się okaże, kiedy się jednak objawi. Ja, zwykły śmiertelnik, staram się tylko, dzięki swym skromnym umiejętnościom, wyjść mu naprzeciw.

– Czyż nie wiecie, mistrzu, czego Bóg oczekuje? Doprowadzić ludzi, którzy żyją w błędzie, do prawdy! – Maciej podniósł swój chłopięcy, drżący głos.

– Nie powiedziałem, że Szymona pochowali przedwcześnie – podkreślił Herman. – Musielibyśmy spytać bractwa pogrzebowego, w jaki sposób przygotowali ciało. Trzeba by było...

– To nie jest aż tak bardzo istotne, mistrzu – upewnił go Johann. – Pośpieszny pogrzeb jest tylko jednym z kamieni w murze Bożego zamiaru. Ważne, że bezbłędnie się w niego wpisuje. A może ty z jakiegoś powodu nie chcesz, żeby śmierć Szymona pozostała wyjaśniona?

Herman spoglądał na Johanna. Ksiądz trafił w punkt, w który chciał trafić, jak zawsze. Pożegnał się, dowlókł się ulicami do domu i bez słowa wszedł do kuchni.

– Szymon najprawdopodobniej nie żyje – powiedział zamiast pozdrowienia.

– Nie! – zakrzyknęła Maria.

– Wszyscy o tym mówią, więc chyba to będzie prawda.

Szymon Albrecht 5

W pokoju Szymona Ladislav przejechał palcem po klawiszach komputera. Z cichym trzaskiem poddawały się jego naciskowi, ale monitor wciąż był ciemny. Oczywiście, nawet gdyby syn tymczasem cudem się tu zatrzymał, mógł ponownie wyłączyć komputer.

W poprzednich miesiącach zapytałby Szymona o oceny, wysłuchał paru słów skierowanych do monitora i zabrałby się do pichcenia. Tak się już utarło, chociaż Ladislav pewnie wolałby

normalną rozmowę. Syn niechętnie odrywał się od komputera. Ladislav bał się, że kiedyś w ogóle mu nie odpowie. Gdy widział, jak Szymon wpatruje się nieruchomo w ekran, ogarniał go bowiem lęk. Jakby mu zniknął gdzieś, gdzie on nie może za nim dotrzeć. Miał wrażenie, że tylko wypożyczył sobie syna i że znów może go stracić.

Czasem nie wytrzymał tego spojrzenia. Wystarczyło, żeby przyszedł z pracy zmęczony lub zniesmaczony. Wtedy krucha równowaga bywała naruszana.

– Ty już kompletnie zgłupiałeś od tych przeklętych gier!

Zaczął krzyczeć na syna tym głośniejsze, im bardziej czuł swoją bezsilność. Szymon patrzył na niego w milczeniu. A czasem nawet i nie.

– Już się uczyłem. Muszę trochę odpocząć. Zostaw mnie – odpowiadał.

– To przecież nie jest żaden odpoczynek – kręcił głową Ladislav. Sterczał nad synem, co dawało mu pozorną przewagę, a słowa wypływały mu z ust aż nazbyt prędko. – Musiałbyś zobaczyć te twoje wytrzeszczone oczy. Ugrzęzłeś w tym jak w jakiejś sekcji. Dla ciebie to jest po prostu religia, jakbyś przyjął jakąś bezsensowną wiarę.

– Tato.

– Kompletnie porąbaną, rozumiesz?

– Tato, proszę cię.

Im bardziej syn schylał głowę, tym mocniej Ladislav się denerwował.

– No co? Nie potrafisz nawet odpowiedzieć?

– Ty znowu przywiązujesz wagę do tego, że gram, a w ogóle nie rozumiesz komputerów. Nie myśl, że nie wiem, dlaczego nie masz komórki na dotyk. Nie chodzi ci o pieniądze. Ty sam się tym przede mną chwalisz. Cieszysz się tym, że jesteś niezależny, że

nie poddajesz się żadnym wpływom. I to jest z kolei twoja religia, żyć gdzieś poza tym światem – powiedział mu kiedyś Szymon.

– Nie będę cię zdręczać tym, co robiłem w twoim wieku – podnosił głos Ladislav. – Być może czytałem za dużo, rozumiem, że dzisiaj jest znacznie więcej możliwości. No więc, do cholery, korzystaj z nich. Idź przynajmniej do tego marnego kina, a nie próbuj mi wmawiać, że wszystko można ściągnąć... Kiedy pomyślę, że dla ciebie cała kultura skurczyła się do gry komputerowej... – zdał sobie sprawę, jak patetycznie to brzmi.

– Po prostu nie chcę się grzebać w grobach tak jak ty, co chyba nie jest żadną zbrodnią.

– No to co chcesz robić, oprócz tego idiotycznego grania?

– Tato.

Ileż by Ladislav dał za to, gdyby mu teraz Szymon tak spokojnie, choć z lekkim wyrzutem, odpowiedział.

Gotowanie było ucieczką, to oczywiste. Sam o tym wiedział. Ale było też czymś łatwym. W pracy znalazł w Internecie przepis, w drodze do domu zrobił zakupy. Im bardziej milczący był Szymon, tym wymyślniejsze potrawy Ladislav przygotowywał. Teraz spojrzął z niechęcią na patelnię wiszącą nad kuchenką. Wiedział, że powinien się zachowywać jak zawsze, jeśli ma ocalić przynajmniej pozory równowagi, ale nie potrafił się oprzeć, żeby nie zadzwonić. Spróbował zatelefonować do Szymona, ale syn nie odbierał. Wybrał numer powiatowej komendy policji, gdzie go poinformowano, że chorąży przyjdzie dopiero na wieczorną zmianę.

Ladislav wiedział, że powinien zadzwonić do dyrektora szkoły. Nie miał na to ochoty. Zaczął się dręczyć myślami o swoich relacjach z Mary. Pobrali się zbyt szybko, jak wyrzucali mu jego rodzice. Nigdy nie zdołał wyjaśnić im prawdziwego powodu, chociaż pamiętał to dokładnie. Jego wcześniejsza nudna egzystencja,

przeżywana bądź to nad resztkami szkieletów na uczelni, bądź też w domu nad literaturą fachową, zmieniła się w złoty okres. Przypominał sobie jej rozpalone spojrzenie, z jakim w muzeach i gospodach wypytywała go o przebieg prac badawczych. Jego specjalność zazwyczaj nie wywoływała wielkich emocji, jeśli nie pracowali nad czymś, co było interesujące medialnie. Uległ temu oczarowaniu, nagle potrafił wziąć głęboki oddech, wyprostować się; chodnik niemal zaczął się prężyć pod jego nogami. Wiedział, że ta jej fascynacja może któregoś dnia się ulotnić, lecz nie zamierzał stracić ani jednej chwili.

Zastanawiał się, kiedy pierzchnęło to jej zainteresowanie. Czy wtedy, gdy nadarzyła mu się okazja pracy badawczej w terenie, z daleka od Pragi, gdzie musiał spędzać czas od poniedziałku do piątku? Czyżby to było takie proste? Mary przecież twierdziła, że rozumie, jaka to jest szansa. Ciągłe mu coś nie pasowało... i to poczucie miał często do czasu rozvodu. Wolał teraz wybrać numer, który dał mu dyrektor.

– Ma pan to w mailu, panie Albrecht – rozległo się w telefonie, tym razem w tonie głosu dyrektora wychwycił nutę obawy. Może dlatego, że nie przysłaniała ich teraz szeroka, uśmiechnięta twarz.

Ladislav włączył laptop i otworzył wiadomość z załącznikiem zawierającym spis nazwisk i telefonów komórkowych. Nastawił wodę na herbatę. Potem postawił przed sobą kubek i wybrał pierwszy numer.

– Tak? – odezwał się nerwowy męski głos. Normalnie mógł mieć sympatyczne zabarwienie, teraz jednak wydał się podwyższony. Gdy tylko Ladislav wyjaśnił, dlaczego dzwoni, mężczyzna wykrztusił: – Mam teraz naradę, proszę się nie gniewać, zadzwonię do pana później, może wieczorem, dobrze? Na pewno się do pana odezwę! – zapewniał go ten człowiek i Ladislav był niemal pewny, że słyszy go po raz ostatni.

Kolejny numer, kobiecy głos. – Ojej, to straszne, co pan mi opowiada. W jej tonie czuło się ślad kokieterii. Jakby się z lekka ugryzła w język. – Kiedy sobie wyobrazę, że naszej Jirzynce mogłoby się przydarzyć coś takiego... Co może się za tym kryć? Chyba nie narkotyki? W naszej szkole przecież na pewno ich nie ma, prawda? – Ladislav podziękował i pożegnał się. Nawet gdyby przysiągł, że Szymon nigdy niczego nie brał, i tak nie przekonałby tej kobiety.

Kolejny mężczyzna podniósł słuchawkę i w tle słychać było warczące silniki jakichś urządzeń, chyba budowlanych. – To są dopiero gnojki, no nie? Oderwać ich od komputerów praktycznie się nie da. Ja jako chłopak biegałem zawodowo na setkę, a syn non stop siedzi na dupie przy komputerze. Zapytam go, jak tylko wrócę z pracy.

Przy następnej próbie usłyszał niedowierzające „Proszę”, i ledwie zaczął wyjaśniać, dlaczego dzwoni, rozmowa została przerwana.

– Teraz jadę samochodem – zbył go następny rodzic.

Kilka skrzynek głosowych. Wezwany nie przyjmuje rozmowy. Rozmowa przyjęta, ale z drugiej strony nikt się nie odzywa, a potem połączenie przerwane.

Uświadomił sobie, że musi zapisywać te wypowiedzi, bo inaczej nie będzie wiedział, z kim już rozmawiał. Wyrysował sobie tabelkę, tak jak to robił przy zapisywaniu informacji o znalezionych szkieletach. Przy tej rutynowej czynności poczuł ulgę. Wreszcie chciał wkroczyć na, przynajmniej z pozoru, twardszy grunt. Wszystko było lepsze od bezcelowego czekania. Przeczytał skromny plon rozmów i zadowolenie zniknęło. Znowu wszedł do pokoju Szymona. Usiadł na jego krześle i tym razem włączył komputer, ale dotarł tylko do hasła. Potem wrócił do swojego biurka i otworzył materiały do historii Szymona Abelesa, żeby nadrobić to, co Tomasz miał już solidnie ułożone w pamięci.

Zagłębił się w dzieje żydowskiego chłopca z siedemnastego wieku. Próbował zrozumieć, co decyzja Szymona o przyjęciu chrztu znaczyła dla jego ojca, ale nie udawało mu się to. Wyjął z biblioteki tom opisujący żydowskie obyczaje. Przeczytał, że konwersja na chrześcijaństwo jednego z jej członków była dla żydowskiej rodziny równoznaczna z jego śmiercią. Dlaczego jednak ojciec Szymona miałby zabijać swojego syna? Czy nie oznaczałoby to zamiany jednej śmierci na drugą? I żeby sam miał spowodować śmierć Szymona przez nieszczęśliwy wypadek? Ladislav jakoś nie mógł się zmusić, żeby w to uwierzyć. Próbował sobie przypomnieć, czy już kiedyś słyszał w mediach o podobnym przypadku. Słyszał o dzieciach zaginionych i wykorzystywanych, ale żeby jakiś rodzic zabił duże dziecko?

Równocześnie uświadomił sobie, że jego myśli chcąc nie chcąc zmiierzają w inną stronę. W tej części jego mózgu, która nie zajmowała się Abelesem, zrodziła się jakaś kolejna aktywność. Stłumił panikę, która zaczęła w nim narastać.

A co z jego synem? Na ile jest to jego wina, że Szymon zniknął? I co właściwie wydarzyło się wieczorem przed jego zniknięciem? Czy była to tylko zwyczajna kłótnia, która wymknęła się trochę z dotychczasowych granic? A może rozegrało się coś, co na zawsze zmieniło ich relacje?

Nagle wydało mu się, że zaczyna rozumieć Łazarza Abelesa. Nie potrafił wyobrazić sobie jego postaci, umykał mu głównie religijny wymiar jego historii, ale zaczął domyślać się jego uczuć. Gorzkiej bezsilności, kiedy syn uciekł gdzieś, gdzie nie mógł za nim pójść. Tej dziwnej mieszaniny rozdrażnienia, smutku, uzalania się nad sobą i wyrzutów sumienia, że nie potrafił temu przeszkodzić. Łazarz był mu pod każdym względem bliższy i bardziej rozumiały niż jego tajemniczy syn. Prace badawcze nie obejmowały jednak ojca.

Nie powinien aż tak przeżywać tej historii. Spróbował skoncentrować się na przypadku z końca siedemnastego wieku, przypominając sobie jasno zdefiniowany cel naukowy, a jest nim odnalezienie ciała Szymona Abelesa, zidentyfikowanie go i ustalenie przyczyny jego śmierci.

Zadzwoił telefon komórkowy, na ekranie pojawił się nieznany numer. Ladislav oczekiwał raczej głosu kogoś z rodziców, miał też nadzieję, że dzwoni ktoś całkiem nieznany, kto przerwie łańcuch połowicznych, prowadzących donikąd informacji i skieruje go na nowe tory. Nieznajomy mężczyzna mówił rzeczowo, ale zarazem ostrożnie.

– Kapitan Jirsa, policja kryminalna. Czy rozmawiam z panem Albrechtem?

Ladislav wyprostował się na krześle, po czym wstał. Następne słowa kapitana słyszał już z opóźnieniem, jakby musiały się przebić przez powódź nadziei, która wytrysnęła z jakichś ukrytych źródeł. Wziął głęboki oddech i spróbował odpowiadać tak, żeby był w tym jakiś sens. Nie, syn nie wrócił. Żadnych nowych informacji nie ma. Tego, co już wpisał do protokołu, nie może w żaden sposób uzupełnić. Owszem, próbował rozmawiać z rodzicami kolegów Szymona. Czy mógłby przyjść do wydziału kryminalnego? Oczywiście. Choćby zaraz. Zatrzasnął za sobą drzwi mieszkania, nie tracąc czasu na ich zamknięcie. Wydział kryminalny znajdował się w tak zwanych Domach Kobiet, olbrzymim, powstałym w czasach pierwszej republiki, budynku przy ulicy Książęcej, który kiedyś służył jako dom dla niezamężnych młodych pań, a dziś oczywiście przerobiono go na hotel, kasyno i pomieszczenia dla kilku sklepów. Miał mocno oświetloną recepcję, skąd można było pójść do akademii zdrowia lub do oddziału agencji ubezpieczeniowej. Ladislav oczekiwał, że recepcjonistka spojrzy na niego badawczo, kiedy jej wyjaśnił, dokąd się udaje.

Udzieliła mu rady z profesjonalnym uśmiechem, z którego niczego nie dało się wyczytać. Wjechał windą na piętro i na tabliczce z dzwonekami znalazł nazwisko kapitana.

Podłoga była z jasnego szpitalnego linoleum w zielone, brązowe i czarne kropki. Trochę pachniała, a trochę cuchnęła środkiem piorącym. Ladislav próbował sobie wyobrazić wygląd kapitana, jednak zliczonych dzwoneków, przy których wypisane były inne nazwiska i funkcje, ani z białych drzwi z kulistą klamką niczego nie zdołał wyczytać.

Nic nie przypominało mu zaniedbanych policyjnych posterunków sprzed lat. Ladislav zapamiętał, że w podobnym budynku zgłaszał kiedyś kradzież samochodu. Jasnowłosy policjant wystukiwał wówczas protokół na maszynie do pisania, rzucając w jego stronę sympatyzujące, ale pełne zakłopotania spojrzenie. Dla obydwu było oczywiste, że sprawcy nigdy się nie znajdą. Pamiętał jeszcze obtłuczone kraty w drzwiach na korytarzu komendy, które policjant musiał wtedy odemknąć, żeby Ladislav wszedł do środka. Przypomniawszy sobie też obite żółte płytki, na których smugi brudu mieszały się z jakimś wzorkiem, a także odrapany zmywalny lakier na ścianach. Rozklekotane krzesło w środku, poobijany stół i latami niemyte okno. Teraz miał raczej wrażenie, że znajduje się w poczekalni prywatnego gabinetu lekarskiego.

Drzwi otworzył młody mężczyzna i Ladislav uświadomił sobie, że człowiek stojący przed nim nie ma problemów z poczuciem własnej wartości. Mógł być wybitnym sportowcem, właścicielem dobrze prosperującej firmy handlowej lub kimś, kto wymyślił i założył portal internetowy. Ciemnoniebieski sweter uwydatniał jego klatkę piersiową, miał na sobie nowe dżinsy, z których wyzierały luzackie, a przy tym luksusowe półbuty.

W biurze kapitana siedzieli dwaj koledzy, obaj z komórkami przy uchu. W rogu stał podłączony do ładowarki nadajnik, z którego rozlegał się trzeszczący potok meldunków patroli policyjnych.

Ladislav usiadł na taborecie obok stołu kapitana, tym razem po jego stronie. Mógł wyprostować nogi. Obserwował kapitana, który szukał czegoś w komputerze. Gdyby spotkał go wychodzącego z salonu gier, z centrum handlowego czy z autoserwisu, za każdym razem miałby wrażenie, że pasuje do tego miejsca. Szukał wzrokiem jakiegoś bardziej indywidualnego znaku: bransoletki, łańcuszka na szyi, nietypowego zegarka. Niczego takiego nie znalazł.

– No więc, panie Albrecht. Powtórzmy sobie wszystko.

Ladislav zaczął opowiadać; prędko uświadomił sobie, że posługuje się sformułowaniami, których używał już przy pierwszym protokole. Kapitan jednak niemal po każdym zdaniu przerywał mu pytaniem. Jirsa chciał znać na przykład szczegóły dotyczące ubrania Szymona i wtedy Ladislav zrozumiał, że kroczy po omacku. Stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę, że kapitan zadaje pytania wedle określonego systemu. Niektóre z nich jak gdyby wracały trochę do tego, co Ladislav powiedział przed kilkoma minutami. Zwrot „panie Albrecht” nie wydawał się już tak przyjazny. Jirsa spoglądał na Ladislava tylko od czasu do czasu, wzrok miał przeważnie utkwiony w swoich notatkach. Jego pytania wkrótce zaczęły krążyć wokół jednego tematu. Interesowały go relacje Ladislava z Szymonem i z Mary.

– Naprawdę nic u was w domu się nie wydarzyło? Nie musiało to być nic dramatycznego. Wystarczyłaby wymiana poglądów, która mogła być bardziej zasadnicza, niż się panu wydaje. Chłopcy w okresie dojrzewania są bardzo wrażliwi. Być może pan nawet nie chciał go dotknąć, ale...

Ladislav przypomniał sobie, co wydarzyło się w ostatni wieczór, zanim Szymon zniknął, i przełknął ślinę.

– Czy nie można by stwierdzić, gdzie jest, na podstawie sygnału z jego komórki? – spróbował zmienić kierunek rozmowy.

– Widzę, że często ogląda pan kryminały – zauważył kapitan.

– Nie mam telewizora – odpowiedział Ladislav i uświadomił sobie, że nawet nie wie, jak to się stało, że ten sygnał przyszedł mu do głowy.

– Nie ma pan telewizji?

– Syn wszystko śledzi na komputerze – odpowiedział Ladislav na niewypowiedziane pytanie.

– Śledztwo ruszyło już na całego – docenił z uśmiechem jego inwencję kapitan – pracuje nad tym wielu ludzi, rozdzieliliśmy zadania...

– Czy operator komórki wyrazi na to zgodę? – spytał Ladislav. Kapitan obrzucił go badawczym spojrzeniem. Jakby chciał się upewnić, czy Ladislav nie próbuje go w coś wmanewrować.

– Dzieci to nie dotyczy. Tam obowiązuje inny system. Dadzą nam wszystko, czego potrzeba, bez dyskusji.

– A kiedy się...?

– O miejscu jego komórki będziemy wiedzieli w ciągu kilku dni.

– Coś takiego? Chcę w tej sytuacji powiedzieć... Wydaje mi się, że to dość długi czas. A jak ja mógłbym tymczasem wam pomóc?

– Przede wszystkim niech będzie pan stale pod telefonem.

– To wszystko? Wie pan, wyobrażałem sobie, że w dzisiejszych czasach...

– Z technologii informatycznej oczywiście skorzystamy. Szukamy także świadków, którzy mogliby coś wiedzieć. Rodziców uczniów obdzwaniać pan nie musi, sami się do nich zwrócimy. Gdyby jednak ktoś się z czymś panu zwierzył, proszę do mnie zadzwonić.

Ladislav skinął głową i nadal uważnie obserwował kapitana.

– Proszę mi wierzyć, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Sprawdzimy także nagrania z kamer kontrolnych. Pański syn musiał przejść koło którejś z nich.

Ladislav zastanawiał się, o jakich kamerach kapitan mówi. Czyżby na budynku szkolnym?

– A co ze zdjęciem? Znalazł pan jakies?

Ladislav wzruszył ramionami: – Nigdy nie byłem mocny w fotografowaniu. Rozumie pan, nie jestem typem człowieka, który nosi fotografie w portmonetce. – Ze spojrzenia kapitana wywnioskował, że o ile wybronił się jako ktoś, kto nie ma telewizora, to teraz definitywnie potwierdził, jakim jest dziwakiem.

– Czy przeszkadzałyby panu medializacja? – spytał Jirsa.

Zaskoczonemu Ladislavowi przyszło do głowy, czy przypadkiem kapitan nie dorabia sobie, współpracując z prasą bulwarową.

– Nie, proszę się nie obawiać, nie chodzi o żadną tanią sensację dla brukowca. Dzięki mediom informacja dotarłaby do społeczeństwa. I tak zaczną się zajmować tym przypadkiem, a jeśli będziemy aktywni, zdołamy wpłynąć na kształt ich informacji. Pytam pana właściwie o formalną zgodę, ponieważ jest to całkiem skuteczny instrument, którym posługujemy się na co dzień. Nie powinniśmy z niego rezygnować. Przecież chcemy odnaleźć Szymona, prawda?

Ladislav zgodził się. Czuł, że i tak nie ma wyboru.

Szymon Abeles 5

Beszonised przywitał Hermana w drukarni szerokim, pokrzepiającym uśmiechem, nawet wyszedł mu naprzeciw, wstając od swego biurka, zawalonego ofertami druków i innymi papierami: – Był tu ojciec Johann!

– Wycofać zamówienia?

– Przeciwnie, mistrzu. Możemy się ponoć spodziewać, że nasze następne ulotki nie sprzedadzą się tak od razu. Dokupujemy papier.

– I co... O co chodzi?

– No właśnie, mistrzu. Przedziwny przypadek twojego podopiecznego to wspaniała perła. Szykuje się śledztwo i gardłowa sprawa... Krótko mówiąc, ludzie gotowi są powyrywać nam ręce, żeby się dowiedzieć szczegółów.

– Na razie nic się nie dzieje.

– Zdaniem ojca Johanna to gotowy temat. – Herman zrozumiał, że list został napisany i odesłany. – A wiesz, mistrzu, z czego się cieszę najbardziej? Kiedy pomyślę o wszystkich tych sławetnych panach z ratusza, doktorach obojga praw, czcigodnych sędziach, którzy poprowadzą śledztwo. Przecież znasz ich, wiesz, że zawsze afiszują się swoimi nazwiskami i podają wszystkie swoje tytuły. Zanim wydrukujemy na ulotce jedno z nich, w połowie zapełnimy ją zaszczytami. Oczywiście, ludzie będą musieli trochę dopłacić.

– Przecież sam też mógłbyś przypisać sobie jakiś tytuł.

– No... nie, żeby mi coś takiego nie przychodziło do głowy. Ciągle jednak czekam na tę prawdziwą okazję. I być może właśnie teraz czuję, że nadchodzi!

– Co można wykrzesać ze śmierci małego chłopca?

– Synobójstwo samo w sobie jest intrygujące. A my mamy jeszcze pikantniejszy przypadek. Chrześcijanin zabity przez Żyda...

– Szymon nie został przecież chrześcijaninem, a...

– ...powiedz jeszcze, że jego ojciec nie jest Żydem.

– Czy to się już potwierdziło, że Szymona ktoś zabił?

– Ojciec Johann jest o tym przekonany. I nie myśl sobie, że mam coś przeciwko Żydom. Będę się tylko cieszył, jeśli nasze ulotki kupią także oni.

– Beszonisedzie...

– Ja wiem, ja wiem, ty żadnym Żydem nie jesteś. Dla mnie te sprawy i tak nie mają znaczenia...

– Beszonisedzie, czy naprawdę musimy w coś takiego wchodzić?

– Ależ oczywiście – spowaźniał. – Nic innego nam przecież nie pozostaje. Inne drukarnie nawet się nie zawahają, gdy tylko się o tym dowiedzą. Mamy ogromne szczęście, że jesteśmy o krok do przodu.

Herman patrzył na Beszoniseda, jak badawczo mu się przygląda. Oczekiwał, że znowu go zapyta o tajemnice żydowskiej drukarni. Impresor zmienił jednak ton.

– Hermanie, czy nie widzisz, że gdy będziesz z tą sprawą na bieżąco, wszyscy na tym zyskamy?

– Czyżby...?

– Ileż to razy zmieniałeś skład tuż przed drukiem? Ile razy uzupełniałeś go o nowe zdania, gdy nie mieliśmy czasu, żeby wezwać autora? Zdaję sobie sprawę z twoich zdolności, być może nie dość cię chwaliłem, ale przecież mnie znasz. Cenię cię...

– Te ulotki nie miały ze mną nic wspólnego.

– No, ale ta ma! – Beszonised znów się zapalił. – Kto inny miałby ją napisać, jeśli nie ty? Znasz Żydowskie Miasto i Żydów jak nikt inny. Dla nich możesz być po stokroć martwy, ale oni dla ciebie martwi nie są, prawda?

Herman potrząsnął głową: – Chodzi mi o tego chłopca.

– Właśnie. Czy nie chcesz, żeby się wszystko wyjaśniło?

Musiał przytaknąć.

– Kiedy ja i Szymon... – zaczął, jakby chciał opisać Beszonisedowi to, co przeżył z chłopcem.

– No właśnie. Ty i to pacholę. Oby tylko nie zaczęli czegoś i tobie zarzucać. A tak będziesz poza podejrzaniem.

Maria wróciła od studni z włosami powiewającymi spod chusty, a po twarzy ciekły jej łzy. Nie mogła złapać tchu, jej różowa

cera kontrastowała z przerażeniem, które miała w oczach. Herman na moment zobaczył w swojej służącej kogoś innego, za tą kobietą obejrzałby się na ulicy, gdyby ją spotkał. Strach podkreślał jej powab. Gdy tylko zaczęła szlochać, czar prysł. Słyszał już wyłącznie co mówiła.

– Szymona zamordował jego ojczulek, wsypał mu trucizny do wina. Jakiś Żyd podobno wszystko opisał w liście do starosty – wykrztusiła.

– Uspokój się, no tak – Herman wziął ją w ramiona. – Który ojciec zrobiłby coś takiego?

– Ojciec? To jest Żyd! Nie patrz tak na mnie, mistrzu. Ja wiem, skąd przyszedłeś. Jeśli jednak popełnili takie bestialstwo...

Wyrwała się z jego objęć i usiadła na kuchennym taborecie. Położył jej z tyłu ręce na ramiona. Poczul bijące od niej ciepło.

– Mistrzu! Znasz ojca Johanna i jezuitów. Wiesz, jaką mają siłę! Niech użyją swoich wpływów, żeby to morderstwo zostało porządnie zbadane! – Natarczywość jej spojrzenia wzmogła przekonanie Hermana, że musi znowu porozmawiać z kimś o Szymonie. A właśnie w Klementinum byli ci, którzy wiedzieli najwięcej. Nogi ślizgały mu się po zlodowaciałym śniegu, miał wrażenie, że to zły sen, że biegnie, a jednocześnie stoi w miejscu. Prędko zaczął łapać oddech.

– Czy to sprawa życia? – ofuknął go odzwierny przez kraty w bramie. Ledwie zdążył odemknąć, Herman odsunął go skrzydłem bramy. Jego kroki zadudniły na korytarzu kolegium. – Ojciec Johannie! – krzyczał tak, że aż z drzwi pokoi wybiegały postacie w czarnych zakonnych habitach. Znalazł go w pracowni siedzącego za stołem, głowę trzymał prosto. Nad tym stołem wznosiło się wysokie sklepienie, wydawało się, że ksiądz potrzebuje nad sobą jak najwięcej przestrzeni.

– Jak na zawołanie – uśmiechnął się Johann.

- Co się stało Szymonowi?
- To właśnie chcemy stwierdzić. Czyżby jakaś choroba zdołała go tak prędko skosić? Przed paroma dniami było z nim jeszcze wszystko w porządku.

Herman uświadomił sobie, że wbrew jego woli działa na niego ton głosu Johanna. Te dobrze skonstruowane zdania, wygłaszane przez doświadczonego mówcę. Mimo woli poczuł, jak się uspokaja i jak zaufanie do księdza przewycięża jego wątpliwości.

- Słyszałem, że podejrzewają Łazarza.
- Ojciec Szymona i cała rodzina zostaną oczywiście przesłuchani. Módlmy się, żeby odkryto prawdę jak najprędzej, żeby nie cierpieli niewinni. W końcu właśnie ty im możesz pomóc. Rozmawiałem ze starostą. W czasie śledztwa potrzebny będzie człowiek, który zna żydowskie obyczaje.

- Ale... ja przecież muszę być w drukarni... Beszonised czeka na wielkie zamówienie...

- Z twoim impresorem też już rozmawiałem. Myśl o tym, że znajdziesz się w centrum wydarzeń, wręcz go zachwyca. Wszystko jest w rękach Opatrzności, mistrzu, choć ty oczywiście nie potrafisz pozbyć się wątpliwości. Czy nie wynikają one, jak mnie mam, z tęsknoty za twoją dawną wspólnotą?

Herman zaprzeczył ruchem głowy. Stłumił w sobie wymówki, które chciał uczynić Johannowi, zaskoczony sugerowanym oskarżeniem.

- Masz właśnie wspaniałą okazję, by udowodnić swoją wierność jedynej prawdziwej wierze. Ceń sobie to swoje błogosławieństwo. Już choćby fakt, że się tu sam z własnej woli zjawiłeś, świadczy niewątpliwie o ingerencji wyższych sił. Udaj się do Fryderyka z Kutenštejna, starosty na Starym Mieście. Teraz, od razu. Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem. A może nie życzysz sobie, żeby prawda wyszła jak najszybciej na jaw?

– Dlaczego właśnie ja...?

– Nie rozumiesz chyba, że od ciebie będzie zależeć, jak wyjaśnisz żydowskie przesady? Wiesz przecież, że słowa można rozumieć w rozmaity sposób – dla oskarżonych będzie to mieć ogromne znaczenie.

Herman wyszedł z kolegium z mieszanymi uczuciami. Wydawało mu się, że zyskał możliwość dowiedzenia się, co się stało Szymonowi. Równocześnie jednak pozostał w nim cień obaw. Johann nie powiedział mu, co myśli o winie Łazarza. Dlaczego znowu wplątali go w tę historię? Czego od niego oczekują? Jaką rolę on ma odegrać? Johann przecież wiedział, co drukarz sądzi o próbie oskarżenia Łazarza o śmierć Szymona. Powiedział odźwiernemu kilka słów na przeprosiny. Z bijącym sercem ruszył w stronę ulicy Płatnerskiej, na spotkanie ze starostą w ratuszu. Zimne popołudnie prędko przeradzało się w mroźny wieczór.

Starosta siedział w rzeźbionym fotelu. Odchylił się, żeby przypatrzeć się gościowi. Miał potężną, modnie ufryzowaną brodę i imponujące odzienie ze srebrnym haftem, lśniącem na tle czarnego aksamitu. Drewniany strop nad nim wzmagał wrażenie dostojności, płynące z rozległej komnaty na pierwszym piętrze ratusza. W boazerii na ścianach odbijały się płomienie licznych świec.

– Wspaniale – odezwał się zdawkowo, nie proponując nawet drukarzowi, żeby usiadł na krześle. – No więc mamy cię tutaj, mistrzu Hermanie. Lubię spotykać się z porządnymi mieszczanami, którzy są podporą naszej wiary. A my dodatkowo skorzystamy z twojej, powiedzmy, nadzwyczajnej znajomości żydowskich błędów i sposobu życia. Pójdiesz do ojca Szymona i przekonasz go, żeby się przyznał, żebyśmy mieli tę obrzydliwość jak najprędzej z głowy.

Starosta pozostał w pozycji nieco przechylonej, oczekując natychmiastowej zgody. Herman musiał w końcu uciec wzrokiem w bok.

– A jeśli Łazarz jest niewinny? – spytał w końcu Herman.

– Ktoś to musiał zrobić – odpowiedział pospiesznie starosta. – Nie potrafisz sobie wyobrazić, mistrzu, jak wielu ludzi wyraziło już przy mnie pogardę dla tego ohydneho czynu, popełnionego przez Żyda na chrześcijaninie. Nie, nie przerywaj mi. Nie podejrzewasz, drogi mistrzu, jakie siły zostały uruchomione. Tym przypadkiem zajmować się będzie sąd apelacyjny, więc widzisz, jaką wagę przykładamy do całej sprawy. Śledztwo ma prowadzić Johann Wolfgang Ebelin z Friedbergu – podkreślił.

– Ten prawnik?

– Tak. Dla wszystkich byłoby najlepiej, gdyby Łazarz jak najprędzej się przyznał.

– Czyli zaprzecza, że jest winny?

– A czego się spodziewałeś? Nie patrz tak na mnie, mistrzu! Czy nie wiesz, jak świat się kręci? Żyjesz za zamkniętymi okiennicami. Nawet ta twoja kucharka nic ci nie powiedziała? Zaprowadzimy cię do twojego przyjaciela, do celi, spróbuj go przekonać.

– Łazarz nie jest moim przyjacielem.

– No tak. Mówię oczywiście tylko obrazowo. Dlaczego od razu chwytasz mnie za słowa? A tak nawiasem mówiąc, masz chyba jakichś przyjaciół. Nie rób takiej zaciętej miny. Nie musisz zaraz się sprzeciwiać, wiem, że dobrze żyjesz z sąsiadami. Do tego człowieka za kratami chyba ci jednak bliżej, czy nie mam racji? No, a teraz możesz coś dla niego zrobić. – Herman patrzył staroście prosto w oczy. – Bo jeśli śledztwo nie skończy się na Łazarzu, to pójdziemy dalej. Zaaresztujemy kogokolwiek, a każdy inaczej znosi uwięzienie. Jeden wyda drugiego, żeby się tylko wywinąć. Zagrożeni są wszyscy, którzy mają coś wspólnego z tym ohydnyim przypadkiem. Absolutnie wszyscy.

Ta sytuacja jest właściwie śmieszna – zastanawiał się Herman, wbijając wzrok w plecy dryblasa w przyłbicy. Ja, mistrz Herman, chrześcijanin i uczciwy mieszczanin, mam wyciągać z kłopotów Żyda Łazarza. Sam jednak czuł, że jego ironia nie wystarcza i że nie chce zdać sobie sprawy, jaka jest rzeczywistość. Starosta przecież zaznaczył wyraźnie, kto będzie następny, jeśli Łazarz się nie przyzna. Gdyby jego zamknęli, najpewniej zabraliby także Marię. I niewątpliwie uwięziliby Leę.

Nagle uświadomił sobie, że nie idą do więziennych cel. Pacholek kata prowadził go przez salę do niewielkich drzwi. Gdy tylko je otworzył, Herman zobaczył, jak do środka przenika z przeciwnej strony światło. Zrozumiał, że jest w przedsionku ratuszowej kaplicy.

Potem ujrzał drewniane ściany, chyba niedawno zbudowane. Były w nich drzwi ze skoblem, na którym wisiała kłódka. Herman rozglądnął się dokoła, gdyż nie mógł uwierzyć, że Łazarza więżą właśnie tutaj. Musieli dla niego wybudować specjalną celę; rozumiał to i ciarki przeszły mu po plecach, ponieważ wiedział, że nadzwyczajne postępowanie potwierdza jedynie wagę przypadku. Zapach świeżo obrabianego drewna sprawiał dziwne wrażenie. Przypominał nowe misy lub porąbane szczapy ułożone w kominku. Same niewinne rzeczy. Herman bezradnie przełknął ślinę. Z łękiem zauważył, że nad ścianą z desek w jakimś pochodzie wynurzają się zarysy twarzy. Były nieruchome. W następnej chwili pojął, że muszą to być figury świętych z orloja*, których on sam nigdy nie widział w ruchu, ponieważ mechanizm od dziesięcioleci był zepsuty.

* Orloj – praski zegar astronomiczny na wieży Ratusza Staromiejskiego; skonstruowany w 1410 roku, jest popularną atrakcją turystyczną – słynie z mechanizmu uruchamiającego co godzinę figurki apostołów oraz postacie Śmierci, Turka, Marności i Chciwości.

Żołnierz obejrzał się za nim i skinął na niego, żeby poszedł dalej. Wyciągnął z kieszeni klucz i zaczął go niezgrabnie wsuwać do zamka. Łazarz był tu dopiero od paru godzin. Następnym razem żołnierz otworzy już bez problemu. A jeszcze następnym... Ile czasu spędzi Łazarz w celi?

Herman znalazł się w małym pomieszczeniu, które przypominało mu komórkę. Przez zakratowane okienko przenikał tu odblask światła z kaplicy. Usłyszał, jak żołnierz zamyka zamek. Dopiero gdy oczy Hermana przywykły do ciemności, rozpoznał w rogu zarysy skulonej postaci.

– Łazarzu.

– To ty... Hirszu? Właściwie to nawet nie jestem zaskoczony, że się tu pojawiłeś. Lea nigdy o tobie nie zapomniała. A ty o niej też, prawda? Takiej okazji na pewno nie mogłeś przepuścić. – Łazarz mówił z gorzką rezygnacją.

– Przysłał mnie starosta. Mam cię przekonać, żebyś się przyznał. Łazarzu... Dla mnie jest jasne, to wszystko kompletna chucpa, ale...

– Nie mogłeś odmówić? Żyd zawsze zostanie Żydem, wiecznie musimy odpowiadać jeden za drugiego, czy nie tak? Niczego mi nie musisz wyjaśniać. Nie zrobiłem tego, o co mnie oskarżają, Hirszu.

– Łazarzu...

– Naprawdę.

– Wiesz, kiedy mnie zamknęli? Odprawiałem piąty dzień szywy* za Szymona. W mazhauzie** na ziemi, dokładnie według przepisów. Jeśli jeszcze pamiętasz... Przecież nie robiłbym tego, gdybym był mordercą! W takim przypadku sam siebie poddał-

* Sziwa – siedmiodniowy okres żałoby po zmarłym.

** Mazhauz – obszerna sala służąca między innymi do celów modlitewnych.

bym sprawiedliwej karze! Czy myślisz, że potrafiłbym żyć z taką winą? Dwa dni wcześniej ktoś przyszedł mnie ostrzec. Powiedział mi, co się szykuje, i – jak to mówią – żebym uporządkował swoje sprawy. Nie uciekłem. Lea oczekuje dziecka, nie może podróżować. A przede wszystkim ja niczego nie zrobiłem!

– Nie wiedziałem, że... A kto ci powiedział o groźbie aresztowania?

– Nie wszyscy chrześcijanie są tacy jak ty, Hirszu. Dlaczego się pytasz? Żebyś mógł tego człowieka wydać?

– Nie. Ja ci wierzę, Łazarzu... Jednak starosta oznajmił mi, że winowajca musi się znaleźć. A jeśli się nie przyznasz, to wezmą w obroty kogoś innego.

– Dlatego tu jesteś. Z powodu Lei, prawda? Ciągłe o niej myślisz, mam rację? Masz nadzieję, że się mnie pozbędziesz i w końcu będzie twoja? Wyobrażasz sobie, że stanie się chrześcijanką? Że mi ją ukradniesz, razem z naszym nienarodzonym dzieckiem? A może wrócisz do pierwotnej wiary? Przecież masz już doświadczenie w zmienianiu stron. – Głos Łazarza brzmiał teraz zaciekle, wręcz chrapliwie. Herman cofnął się nieco.

– To nie tak – odpowiedział cicho.

– Powiedziałem im, że Szymon umarł w czasie ataku padaczki. Mnie nie złamię. Na Lei zależy mi tak samo jak tobie. I nie chodzi tylko o nią. Mamy już dwoje innych dzieci, teraz ma się urodzić trzecie. Nie możesz zrozumieć, co czuję. Nie ty.

Herman przypomniał sobie swój dom, uśmieški Marii i swoje próby odgrywania roli pana domu. Do niczego więcej nie doszli. Mieli? Chcieli? Ciarki przeszły mu po plecach. Uświadomił sobie, że od strony wieży ciągnie lodowate powietrze. Zastukał do drzwi, żeby przywołać strażnika.

– Panowie cię potrzebują, czyż nie? Tacy jak ty zawsze się przydają – mamrotał Łazarz. Herman zdjął płaszcz i podał go

więźniowi, który siedział nieruchomo w kącie. Tak musiał wyglądać Łazarz, gdy martwił się o swego syna. Oczy drukarza przywykły już do ciemności: mężczyzna w kącie był chudy, włosy opadały mu na czoło, nad brodą sterczał prosty nos. Niespokojne oczy dramatycznie uzupełniały cały ten obraz. Herman zdał sobie sprawę, że właściwie są do siebie całkiem podobni. Rzucił w jego kierunku płaszcz, który rozpostarł się w powietrzu i upadł Łazarzowi pod nogi. Więzień nawet nie drgnął.

Herman wyszedł z drewnianej celi i rozejrzał się. Za oknami kaplicy poszarzało, pochodnia strażnika rzuciła jednak migotliwe światło na wysoki strop sieni. Łuki sklepienia opierały się na kapitelach. Pod nimi ujrzał roześmiane i brodate twarze stworów przypominających ludzi i zwierzęta zarazem. Podziały na niego jak zła wróżba. Pod filarem koło kaplicy dostrzegł delikatniejsze rysy długowłosego anioła, wyglądającego jak kobieta. Istota patrzyła w kierunku ołtarza i unosiła się na rozpostartych skrzydłach. Poczul ulgę. Potem zauważył, że z jej tułowia wystaje noga z drapieżnym pazurem. Więc i to była maskara. Harpia. Zanim Herman doszedł do kancelarii starosty, dygotał już z zimna.

– Za ten płaszcz panu nie zapłacimy, mistrzu, ale gdy tylko Łazarz się przyzna, dostanie go pan z powrotem – może zbytnio nie nasiąknie.

– Żadnego odoru nie poczułem. Łazarz jest niewinny – powiedział Herman. – Szymon umarł w czasie ataku.

– A jednak cię przekonał. Szkoda. Jak uważasz, w końcu jest to raczej twój niż jego kłopot. My to i bez ciebie udowodnimy.

– Niczego nie udowodnicie – Herman dziwił się sam sobie, że kłóci się ze starostą.

– Płaczesz się, mistrzuniu. Od tego siedzenia nad książkami popsuł ci się wzrok. Szymon nie mieszkał tylko z Łazarzem, więc ktoś z nich w końcu przemówi.

Herman biegł zamarzniętą ulicą, chociaż na pokrytych lodem kałużach tracił równowagę. Z trudem omijał zaśnieżone chodniki. Wpadł w drzwi domu niemal bez tchu, a mimo to szczykał zębami. Maria z przerażeniem spytała, czy go ktoś nie napadł, ale zaprzeczył ruchem głowy. Zagrzała mu wina i dołożyła drow do kominka. Otulony kołdrą, trzymał kubek obiema dłońmi. Nie potrafił się rozgrzać i chociaż w końcu przestało mu być zimno, nadal czuł jakieś odrętwienie. Coś, co stawiało opór. Zepsuta zapadka w zamku, którego się nie da otworzyć.

Chciał zawołać Marię, ale nie bardzo wiedział, co jej powiedzieć. Potem jego myśli podążyły ku Lei. Wciąż miał przed oczami twarz Łazarza.

Szymon Albrecht 6

– Mam go dla ciebie – oznajmił mu Tomasz, gdy tylko Ladislav odebrał rozmowę.

– Kogo? – antropolog nie rozumiał. Na chwilę się przeraził, że w kościele zapuścili sondę i grób Szymona Abelesa odkryli bez niego.

– Tego... tego typka – nadmienił Tomasz. – Czy wiesz, gdzie jest Blatouch? Za godzinę macie się spotkać.

– Tomaszu... – Ladislav nadal nie rozumiał.

– Może nie zajmie wam zbyt wiele czasu, żeby wejść do systemu. Słuchaj, ja wiem, że to jest twój syn, ale... przed południem powinieneś już być w kościele. Ja... ja tę twoją sytuację rozumiem, tylko że – wiesz przecież. Kościół dał nam do dyspozycji tę świątynię tylko na tydzień. Jeśli jednak będziesz potrzebował gdzieś wyskoczyć, na przykład na policję, to oczywiście cię